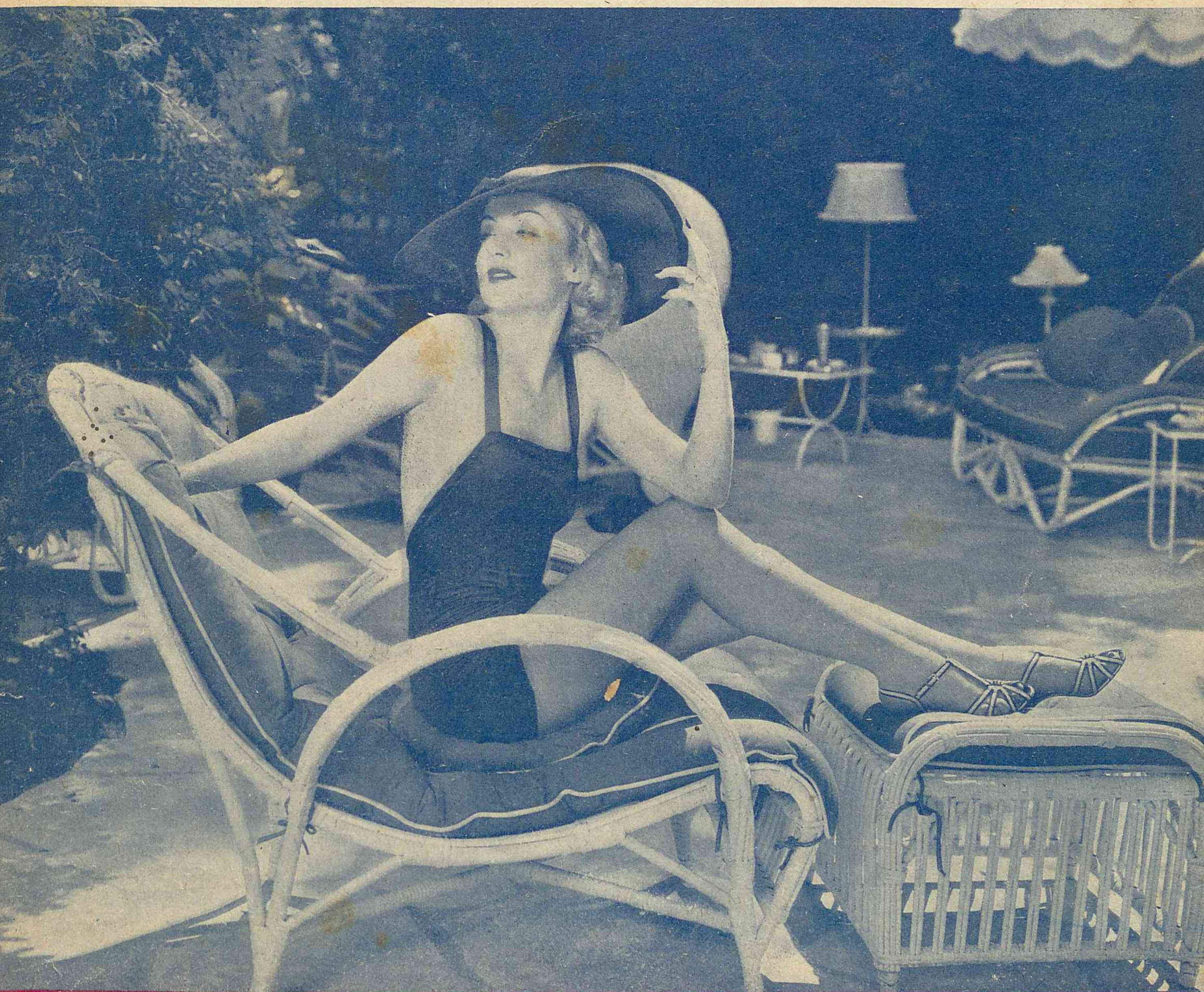
ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 28 11. VII. 1936 r.

CAROLA LOMBARD ODPOCZYWA

Fot. Paramount.



PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

KAPITULACJA NIE JEST ROZWIĄZANIEM

News Chronicle (liberalny), Londyn:

11 września 1935 r. sir Samuel Hoare deklaruje w Genewie: „Idee, zawarte w Pakcie Ligi Narodów, stają się obecnie częścią naszego sumienia narodowego. Mój kraj żąda wykonania Paktu w całej jego rozciągłości i wymaga dodatkowo powszechnego i zdecydowanego wystąpienia przeciw aktom niesprowokowanej agresji.

Anglicy, jako naród praktyczny, są przekonani, że zbiorowe bezpieczeństwo, oparte na międzynarodowem porozumieniu, stwarza najpewniejszą straż pokoju i nie chcą, aby to nowe narzędzie pokoju zostało porzucone lub zniszczone".

14 października 1935. Nevil Chamberlain oświadcza:

„Jeżeli Liga Narodów miałaby ustąpić, to każde słabsze państwo zostałoby zmuszone początkowo do intensywnych zbrojeń, później do sojuszów z sąsiadami mocniejszemi, tak że w efekcie pokój Europy byłby na łasce kilku wielkich mocarstw...

...Musimy wybrać: albo zdecydujemy się na poniesienie tu w Genewie wielkiego wysiłku dla zachowania pokoju i bezpieczeństwa, albo zerwiemy i złamiemy nasze obietnice i przyrzeczenia, co okryje nas wstydem w oczach naszych dzieci i wnuków."

Oświadczenie Baldwina z 23 października 1935 r.:

„Niektórzy krytycy zarzucają, że rząd prowadzi pertraktacje poza plecami Ligi. Jest to całkowicie niezgodne z prawdą."

Manifest wyborczy rządu:

Liga Narodów będzie zawsze punktem wyjścia polityki zagranicznej Wielkiej Brytanji... W nieszczęsnym konflikcie między Wochami i Abisynją będziemy stale utrzymywać naszą obecną politykę... Nasz stosunek do Ligi Narodów jest podyktowany przeświadczeniem, że jedynie zbiorowe bezpieczeństwo i wspólne wysiłki mogą uchronić nas od powrotu do starego systemu, który doprowadził do Wielkiej Wojny.

(—) STANLEY BALDWIN, J. RAMSAY MAC DONALD, JOHN SIMON.

6 grudnia publikacja propozycyj Laval—Hoare wywołuje powódź zapytań i interpelacyj.

18 grudnia dymisja sir Samuela Hoare, wysłannika rządu brytyjskiego.

19 grudnia premier Baldwin oświadcza w Izbie Gmin:

„Nie oczekiwałem nigdy tak powszechnego i głębokiego oddźwięku, jak ten, który zamanifestowali moi czcigodni przyjaciele ze wszystkich części kraju, występując w obronie honoru naszego narodu. Propozycje Laval-Hoare, są zresztą zupełnie pogrzebane."

20 grudnia Nevil Chamberlain: „Liga Narodów jest podstawą naszej polityki zagranicznej."

18 kwietnia 1936 r. M. Baldwin mówi:

„Chcemy, aby Pakt Ligi Narodów był prawem całego świata. Chociaż nigdy nie odstąpiliśmy od tego przekonania, uważamy za swój obowiązek podkreślić nasze przywiązanie do Ligi w razie pogwałcenia traktatów."

20 kwietnia, gdy Włosi byli przed Addis-Abebą, min. Eden oświadczył na zebraniu Ligi Narodów:

„W tem, co dotyczy rządu Jego Królewskiej Mości, proponujemy utrzymanie sankcyj ekonomicznych i finansowych, które są dotychczas w mocy. Co więcej, rząd Jego Królewskiej Mości jest gotów rozważyć projekt nowych sankcyj gospodarczych czy finansowych, któreby umożliwiły rozstrzygnięcie konfliktu."

2 maja. Ucieczka Negusa i klęska jego wojsk.

3 maja. Premier Baldwin oświadcza:

„Odczuwam gorzki żal."

5 maja. Wejście wojsk włoskich do Addis-Abeby. Koniec wojny.

15 maja. Premier Baldwin:

„Nie przyjmę żadnych potępień tego, co się stało".

3 czerwca.

„*News Chronicle* podaje wiadomość o istnieniu projektu paktu śródziemnomorskiego angielsko - włoskiego, który zostanie zawarty poza plecami Ligi Narodów."

5 czerwca.

„Sir Samuel Hoare zajmuje miejsce w rządzie w charakterze pierwszego lorda admiralicji".

10 czerwca. Nevil Chanberlain: „Kontynuowanie polityki sankcyj wydaje mi się czystem szaleństwem.

Jest właśnie czas, kiedy państwo, będące członkiem Ligi Narodów, powinno zrewidować sytuację i ograniczyć atrybucje instytucji genewskiej, aby były one w harmonji z jego prawdziwą potęgą".

17 czerwca. Premier Baldwin w Izbie Gmin:

„Lord tajnej pieczęci rzekł mi, że chodzi tylko o rozmowy przygotowawcze. Żadnej decyzji nie powzięto."

23 czerwca.

„Prasa angielska i zagraniczna podkreśla jednomyślność z jaką rząd brytyjski zażądał zniesienia sankcyj."

Kapitulacja brytyjska.

ZMIANY W DYPLOMACJI



Dr. Wacław Grzybowski, nowomianowany ambasador R. P. w Moskwie.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 28 — 11. VII. 1936

L. CHRZANOWSKI

NAPRAWA BIUROKRACJI

Pan premjer Składkowski jako jedno ze swych zadań wysunął i podkreślił sprawę naprawy biurokracji. Pan premjer jeździ i bada sprawność urzędów na miejscu; nakazuje punktualność i aktywność; pan premjer przemawia, przemawia jak kolega do kolegów; wbija w ambicję, porusza sumienia, nie chce grozić, choć o karach nie zapomina.

Jest to akcja niewątpliwie wielkiej wagi, jest to akcja, która oddawna powinna była być dokonana.

Wytworzyła się bowiem oddawna niewskazana, niepożądana linja podziału.

Po jednej stronie stał obywatel, po drugiej biurokrata. Słusznie czy niesłusznie, przez nadwrażliwość jednych, przez oschłość drugich rosło wzajemne niezrozumienie i niechęć. Przyczyna tego leżała w tem, że i jedni i drudzy nie tak łatwo oswoili się z tem, czem mieli być, nie umieli odrazu stać się obywatelami i polskimi urzędnikami.

Wielu myślało, że nareszcie w wolnej Polsce wszystko wolno, wielu z tych drugich zaś nie umiało się przyzwyczaić, że stali się urzędnikami *swojego kraju i państwa*, nie umiało w szybkiem tempie psychologicznie nastawić się, że nie koniecznie każdy urzędnik jest władzą każdego obywatela. Niekoniecznie ten, co inkasuje podatki musiał być gburowaty, ten co sekwestrował mieć gesty i słowa ekspedycji karnej, ten co otrzymywał podanie sięgać po nie, dopiero gdy skończył szklankę herbaty, ten co zwracał „resztę" zawsze nie mieć drobnych. A tak bywało; często bywało, skoro jeden z ostatnich ministrów skarbu wydał okólnik, nakazujący grzeczne, spokojne traktowanie interesantów.

Często człowiek się zastanawiał, czy ten urzędnik z za okienka, spędza tam 24-y godziny? Czy on nigdy nie staje się skolei zwykłym obywatelem, co w innych urzędach zjawia się jako interesant? Bo jeśli nie można tego powiedzieć o ogóle, to jednak wielu urzędników polskich zasmakowało w przekształcaniu się na biurokratów.

Tych biurokratów zaczynał naród nieznosić, oburzał się, szemrał. Taki biurokrata był zazwyczaj poprostu źle wychowany dla chłopa, skromnej kobieciny w chustce. Taki biurokrata był w gruncie rzeczy wrogiem państwa, bo petent czy interesant wychodził od niego, złorzecząc jemu i... porządkom.

Dziś w wielu punktach pod tym względem jest już poprawa. Ale do usprawnienia machiny, do wpojenia we wszystkich urzędników, że muszą być obywatelami urzędującemi, często z misją pedagogiczną obywatelstwa, a nie biurokratyczną władzą, tak łatwo nie przyjdzie.

Rozumiejąc, że akcja premjera po tej idzie linji, że chodzi nie tylko o „ósmą rano", ale o intensywność pracy, inteligentne jej wykonanie, sumienne urzędowanie, o współpracę obywatela-urzędnika z obywatelem - interesantem, oczekujemy cierpliwie na jej dodatnie dla państwa i ogółu wyniki.

POŁÓW PEREŁ

Feralna trójka

Blady strach padł na różne urzędy. Dotyczy to zwłaszcza godzin rannych. Bo ulubioną porą premjera Składkowskiego jest — ósma rano. Zjawia się znienacka i konstatuje naocznie: w Związku Straży Ogniowych, w Kuratorjum warszawskiem, w Urzędzie Miar i Wag — ilość urzędujących osób jest znikoma. Najczęściej urzędują ... *3 osoby zamiast dwudziestu kilku.*

Przeciętny obywatel, taki, który w prywatnem przedsiębiorstwie dobrze musi przysiedzieć fałdów, aby zadowolić swego szefa, czyta o tych odkryciach premjera i myśli: albo ci urzędnicy mają robotę — ale są opieszali — w takim razie powinni ponieść karę. Albo też roboty nie mają — a w takim razie powinno ich być mniej. Tertium non datur.

Ten prywatny obywatel — to podatnik, który owych urzędników płaci.

Zdaje się, że premjer podziela całkowicie zdanie prywatnego obywatela.

Sprzeczności

Zmarły niedawno pisarz rosyjski Gorkij uważany był w ostatnich latach swego życia za jednego z ludzi sztandarowych bolszewizmu. Jakże żył ten człowiek, od lat najmłodszych wojujący dla proletarjatu, i każdem swem dziełem wysyłający na pohybel zgniłą burżuazję?

Żył — jak udzielny książę.

Miał piękną willę na Capri, gdzie przebywał, jak amerykański miljarder, większą część roku. Miał pałacową posiadłość w Sorrento, gdzie też bosiacy i proletarjusze przeważnie na kurację nie zjeżdżają. Zarabiał sumy fantastyczne — a gdy nie starczało, czerpał beztrosko z ogromnego majątku stale z nim mieszkającej przyjaciółki, kobiety bardzo bogatej.

Kim była ta kobieta? Rosyjską księżną...

Chłopki nie były w guście tego mużyka, który do śmierci ostentacyjnie ubierał się w rubaszkę, mieszkał luksusowo w zgniłej Europie, i nigdy się żadnego europejskiego języka nie nauczył.

Iście rosyjski produkt niekonsekwencyj i zakłamania.



Celowe i niecelowe

Wyrażając najwyższe uznanie dla gestu gen. Rydza Śmigłego, który ofiarodawcom odesłał wraz z miłym listem dwie obrączki ślubne, złożone na Fundusz Obrony Narodowej przez pp. Halamów— wileńskie „Słowo" podaje fakt analogiczny. Oto młodzież szkolna z Nieświeża przez dwa lata składała *groszaki*, aby uciułać sobie fundusik na wycieczkę po maturze. Dziś — całą zebraną sumę w kwocie zawrotnej: *130 złotych!* — złożyła ta młodzież na fundusz obrony narodowej.

„Słowo" wyraża słusznie wątpliwość, czy ten grosz może być przez Państwo przyjęty. Sądzi, że nie. I motywuje to tak: *„Na prawo i na lewo wydaje się pieniądze na różne niepotrzebne rzeczy. Młodzi będą później czuli słuszny żal, że się wyrzekli od dwuch lat planowanej wycieczki, podczas gdy inni nie wyrzekają się drugich i trzecich pensyj, otrzymywanych ze skarbu państwa. Jużci, tej młodzieży z Nieświeża wycieczka z ich miasteczka więcej jest potrzebna, niż p. Wacławowi Jędrzejewiczowi wyjazd na komisarza polskiego pawilonu na wystawę w Paryżu, będącego w tych czasach zupełnie niezrozumiałym luksusem".*

Najzupełniej podzielamy zdanie Cata. Wystawy międzynarodowe miały zawsze za cel dostarczenie krajom przemysłowym nowych rynków zbytu. Dziś rynki zbytu są zamknięte i „uregulowane" obustronnemi umowami i ograniczeniami. Żaden występ na żadnej wystawie zagranicznej nic tu nie pomoże.

A koszty takiej wystawy — porównane z ofiarą sierocego grosza młodzieży nieświezkiej — są istotnie czemś potwornem i karykaturalnem w swej grozie.

Byli ministrowie, jeżeli nic innego nie umieją, niech lepiej wrócą do belferki. To też jest kawałek chleba. No, cięższy, oczywiście, niż „prezesowanie" po Paryżach niepotrzebnym komisjom i delegacjom...

Nie znaczy to wcale, abyśmy byli za zerwaniem „kontaktu z Europą". Przeciwnie: uważamy, że tego kontaktu jest, niestety, *o wiele zamało.* Ale zamiast jednej kosztownej imprezy wystawowej, *która Państwu nie przyniese w zysku nic,* lepiejby było ZA TE SAME PIENIĄDZE wysłać zagranicę na studja uzupełniające kilkuset młodzieńców, którzyby przywieźli z powrotem niezniszczalne wartości w zdobytej wiedzy. To się napewno opłaci.

Trwałość uczuć

Bożyszcze kobiet — Valentino.

Kiedy umarł — wkrótce grób jego uległ zaniedbaniu, pomnik kruszeje i porasta zielskiem. A gdy przed paru dniami w Turynie sprzedawano z licytacji siedem kufrów, pełnych rzeczy zgasłego „gwiazdora" — przedsiębiorca liczył, że o każdą chusteczkę do nosa walczyć będą zastępy kobiet, płacąc sumy bajońskie.

Złudzenia. Palto Valentina sprzedano za 15 lir, a prześliczne jedwabne koszule — po 5 lir. sztuka. Czyli niżej ceny przeciętnej, płaconej za „starzyznę" przez naszych rodzimych Icków Popycków.

*

Haile Selassie. Niedawno „król królów".

Liga Narodów — czytaj cały świat — oświadczała mu się ze współczuciem, przyjaźnią i gotowością pomocy. Na słowach się skończyło. A dziś — Selassie-bez-Ziemi — niemal przemocą wdzierać się musi na salę obrad Zgromadzenia Ligi, a wszyscy jego niedawni „przyjaciele" ze zniecierpliwieniem tolerują jego obecność i jego publiczne skargi.

Przyjaźń między ludźmi? — Ufaj własnej pięści.

Przyjaźń między narodami?— Ufaj własnym armatom.

No i gazom trującym także, oczywiście.

Sklepik ze złudzeniami

Czytanie gazet w dobie obecnej nie należy do czynności kojących nerwy. Zabójstwa, defraudacje, szantaże, kradzieże, rewolucje, mordy polityczne i inne, gangsterzy i zbrojenia, podstępy i przestępstwa... To jest, niestety, strawa codzienna, strawa — ach, duchowa — którą się karmimy.

Że jest ona właśnie — niestrawna, rozumieją doskonale lekarze. I ciężej chorym wogóle radzą — gazet nie czytać. Ale chorzy lubią gazety. I nie wszyscy chcą się do takiej abstynencji nagiąć. Więc, aby choremu dogodzić — a jest nim stary, prawie stuletni Rockefeller, król naftowy — wymyślono coś zupełnie specjalnego: dziennik wydawany dla niego, drukowany specjalnie, w jednym egzemplarzu. Dziennik nazywa się „New York Times", tak jak prawdziwa gazeta tego imienia, i na maszynach prawdziwego „New York Times" się drukuje. Z tą maleńką różnicą, że zawiera... same miłe wiadomości. Na świecie jest rozkosznie, kryzysu niema, narody się kochają, wojny nie będzie już nigdy, ludzkość składa się już z samych apostołów, artystów, uczonych, i poczciwców. Nikt nie ma zbrodniczych zapędów, każdy żyje, aby bliźniemu zrobić przyjemność — słowem, świat widziany przez okulary jaknajbardziej różowe.

Starowina Rockefeller czyta — i może nawet wierzy?

Ale kto wie, czy spryciarz nie przekupuje przypadkiem zaufanego kamerdynera i nie każe sobie cichaczem przynosić codzień prawdziwego „New York Timesa" — dla skonfrontowania tej rzeczywistości uszminkowanej na cześć Rockefellera z rzeczywistością au naturel, w której żyją naprawdę zwyczajni śmiertelnicy?

To byłby niezły kawał...

Niewolnictwo kwitnie

„Ach, Boże, pewno w Liberji? Albo w Abisynji?" — zatroska się humanitarna paniusia. Gdybyż to...

Kwitnie sobie w Europie. Zupełnie jawnie. W dziedzinie „wolnego współzawodnictwa, szlachetnej emulacji, hartowania ciała i ducha". No — w sporcie.

Drużyna klubu piłkarskiego w Valenciennes SPRZEDAŁA, będąc w ciężkiej kondycji finansowej, dwuch swoich najlepszych graczy, innemu klubowi „Olympique" w Marsylji — *za sumę 110 tysięcy franków.* Po 55 tysięcy za jednego niewolnika! Mamy nadzieję, *że i niewolnicy coś na tej nowoczesnej tranzakcji przecie zarobili.* Na tem polega postęp, od czasów starożytnych.

Tylko na tem, niestety.

Bo gdzie się przy takich kombinacjach podział piękny mit o bezinteresowności sportowców, o greckiej „zdrowej duszy w zdrowem ciele" — naprawdę niewiadomo.

„Sprzedani" dwaj piłkarze byli, co za dziwny traf, Polakami z emigracji: nazywają się Wawrzyniak i Kowalczyk.

Wczoraj a dziś

Krótkowzroczne sankiuloty, których lekkomyślne ręce kierowały naszą, pożal się Boże, „polityką motoryzacyjną", rozumowały tak: „Przeklęty burżuju, złaź ze swego auta! Teraz *my* rozbijać się będziemy Packardami!" I nuże gnębić posiadaczy samochodów, aby im życie obrzydzić.

Czyniono to tak przemyślnie, i z taką dokładnością, że przerażony „burżuj" stawiał narazie samochód na kołkach, nie mogąc nastarczyć na podatki. A potem — nie mogąc już opłacać i garażu — poprostu sprzedawał wóz na szmelc.

I, chwała Bogu, tym systemem w pięć lat zlikwidowano na czysto „motoryzację" kraju.

Już rzeczywiście przeważnie dygnitarskie Packardy spotkać można na drogach i bezdrożach Polski.

A teraz — lament.

A teraz — inne hasło.

A teraz: obowiązkiem obywatelskim wobec Ojczyzny jest — kupić sobie auto.

Czemu nie? My na to, jak na lato.

Maleńkie tylko pytanie: za co?



„Wiedza tajemna" przed sądem

Doktorzy mają w Warszawie powodzenie coraz mniejsze. Zwiększa się natomiast powodzenie znachorów i wszelakich pseudo-cudotwórców. Czasem nawet ich kuracja pomaga — czemu nie. Ale niezawsze. Oto pewien oficer wojsk polskich wytoczył sprawę znanemu sprzedawcy ziół leczniczych, Wojnowskiemu, oskarżając, że leczył go fałszywie — poprostu na zupełnie inną chorobę. Wojnowski jakoby twierdzi, że wcale oficera nie leczył, że mu tylko... sprzedawał zioła. Przewód sądowy wyjaśni może tę sprawę, która zapowiada się, jako pierwszorzędna sensacja.

Kraj nędzarzy

Statystyka oficjalna wykazuje następujący przeciętny roczny dochód na głowę mieszkańca:

Stany Zjednoczone	— 2665 zł.
Francja	— 2300 zł.
Anglja	— 1700 zł.
Niemcy	— 1270 zł.
Polska	— 270 zł.

Powiecie: to głupstwo, my mamy zato wartości moralne!

Brednie, szanowni państwo. Siłę, znaczenie i niezależność polityczną ma tylko ten, kto ma pieniądze. „Wartości moralne" są w polityce międzynarodowej — klepane protekcyjnie po ramieniu. Quantité négligeable.

Aby trafić do serca kochanka

Szła młoda dama odwiedzić ukochanego. A, że widać serce miał twarde i na siedem pieczęci zamknięte, zabrała ze sobą ... kilkanaście wytrychów, oraz — łom żelazny. Omyliła się tylko niebożę — i zamiast do drzwi najmilszego, dobrała się całkiem gdzieindziej, łomem zgrabnie drzwi wyważywszy.

A gdy ją na gorącym uczynku przyłapano, tłomaczyła się bidusia, że ona taka nerwowa, i poprostu trafiła nie tam, gdzie chciała. Sąd, nieuprzejmy, nie uwierzył pannie Genowefie Zając — i kazał jej przez roczek podumać w samotności nad tą omyłką.

Nie trzeba dodawać, że panienka już poprzednio 16 razy była karana — właśnie za „omyłki" w tym stylu.

Uparty nurek.

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

MŁODZIEŻ ARTYSTYCZNA



Pracownia rzeźby prof. Breyera

Serję dorocznych wystaw, uczelni artystycznych w Warszawie, zainaugurowały dwie instytucje naczelne: Akademja na wybrzeżu Kościuszkowskiem i Miejska Szkoła Sztuk Zdobniczych na Myśliwieckiej. Dwie te uczelnie stanowićby powinny w dziedzinie sztuki jakby odpowiedniki uniwersytetu i szkoły zawodowej. Przynajmniej z podziału ról tak wypada. W rzeczywistości jednak kompetencje tych szkół nie są obecnie dość zróżniczkowane, skutkiem czego istnieją klasy analogiczne w obydwu uczelniach, co na ograniczonym terenie, a zwłaszcza na ciasnym rynku nabywców dzieł sztuki w Polsce, nie jest zjawiskiem pożądanem.

Akademja wystąpiła, jak zwykle, z wystawą bardzo obfitą. Pracownie malarskie zwłaszcza, imponują ilością wystawionych prac. Nie należy uważać tego za objaw bezwzględnie dodatni. Malarstwo stalugowe najmniej ma dzisiaj oparcia o rzeczywistość. Obrazów nikt nie chce: „szary" człowiek — bo go na to nie stać. A snob — bo mu architekci wmówili, że obraz w nowoczesnem wnętrzu jest zbyteczny. Więc dla kogo będzie malowała plejada tych młodych, których prace, często nawet interesujące, widzimy w salach Akademji?

Najbardziej celowem ujściem dla tych artystów wydaje się skierowanie ich ku malarstwu ściennemu: Polsce bowiem, jak wiadomo, brak już nie setek, ale setek tysięcy budynków wszelkich rodzajów i przeznaczeń.

Akademja warszawska zdaje się uwzględniać ten fakt, czego dowodem pracownia malarstwa dekoracyjnego, prowadzona przez prof. Pękalskiego celowo, z uwzględnieniem różnych technik freskowych. Trzeba tylko dać tej młodzieży dużo nagich ścian — i to nie szkolnych sal Akademji, ale ścian prawdziwych budynków z życia wziętych. Niech swych sił próbują — jest między nimi już teraz paru artystów, którzy nie zawiodą zaufania.

Teraz padną gromy na głowę recenzenta—gdy wyzna, że pracownia graficzna Akademji nie robi dziś wrażenia tak dodatniego, jak przed paru laty. Skoczylas dawał swym uczniom dwie rzeczy zasadnicze: znakomite rzemiosło techniczne i dużą swobodę rozwijania własnej indywi-



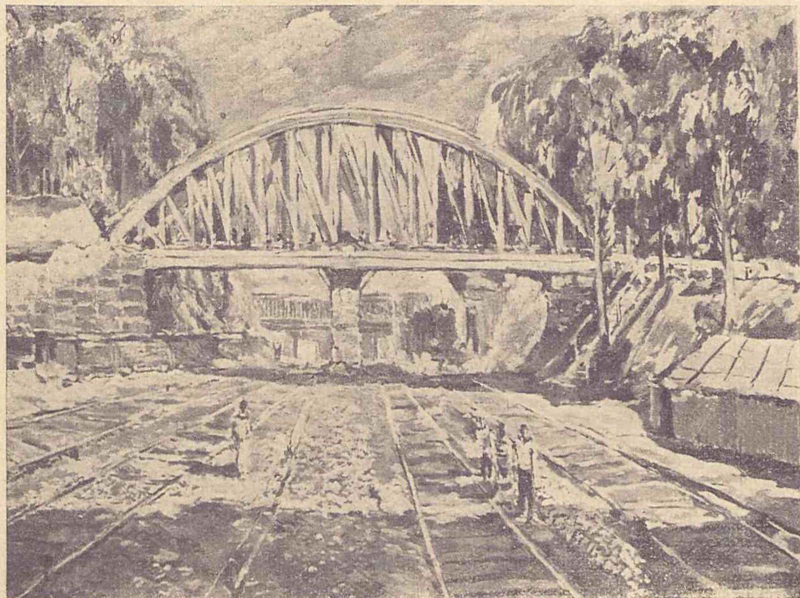
Pracownia grafiki prof. Wyczółkowskiego



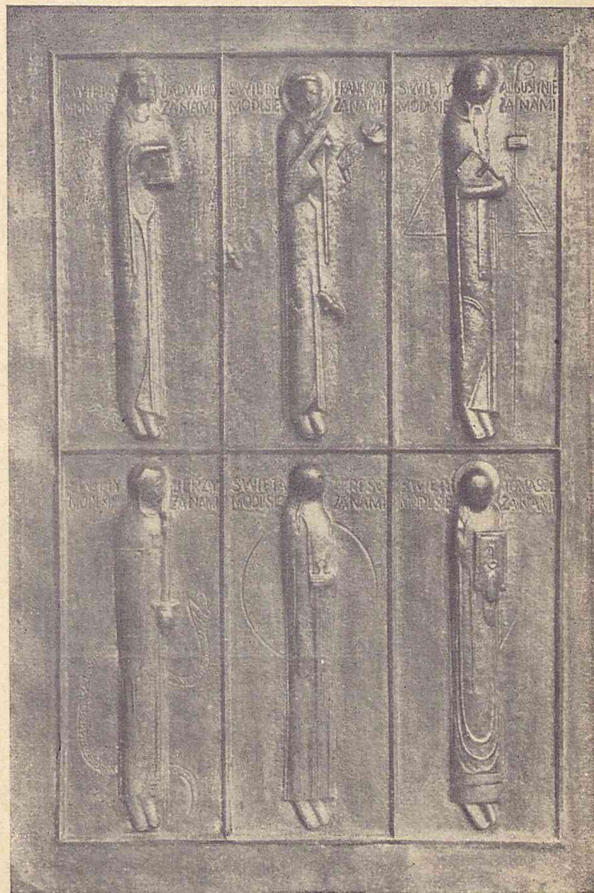
Pracownia malarstwa prof. Pruszkowskiego

dualności. Mistrz Wyczółkowski — mimowoli niewątpliwie — rzuca na swych uczniów czar swej wielkiej sztuki — stąd wrażenie przy oglądaniu wystawy, że uczniowie ulegają urokowi swego mistrza. Poziom techniczny pracowni jest wysoki, ale skrystalizowanych indywidualności jeszcze niewiele.

Pracownia rzeźby monumentalnej prof. Pniewskiego, która przed dwoma laty dała pokaz wręcz imponujący osiągniętemi rezultatami, w tym roku jakoś zszarzała. Może temat mniej jest ciekawy — ale wyczuwa się brak tego, co stanowi istotę rzeźby monumentalnej: zrośnięcia jej z architekturą, wykwitania rzeźby z bryły architektonicznej. Wystawiono naogół rzeźby, jako uzupełnienie architektury, ale w oderwaniu od samej bryły gmachu. Rzeźba występuje tu raczej samoistnie, co może niezupełnie odpowiada zakresowi pracy tego kursu.



Pracownia prof. Pruszkowskiego



Pracownia technik metalowych prof. Kotarbińskiego

Pracownia technik metalowych prof. Kotarbińskiego dała kilka rzeczy ciekawych. I nagrodę uzyskał poliptyk mocno stylizowany w duchu prymitywizmu, bardzo przyjemnie skomponowany i wykonany — grzeszący jednak pewnem już może nadmiernem uproszczeniem — a nawet jakby pominięciem—głów, odtwarzanych świętych. Talerze, miski i inne przedmioty z tej pracowni, wypadły w roku bieżącym mniej interesująco, niż zwykle.

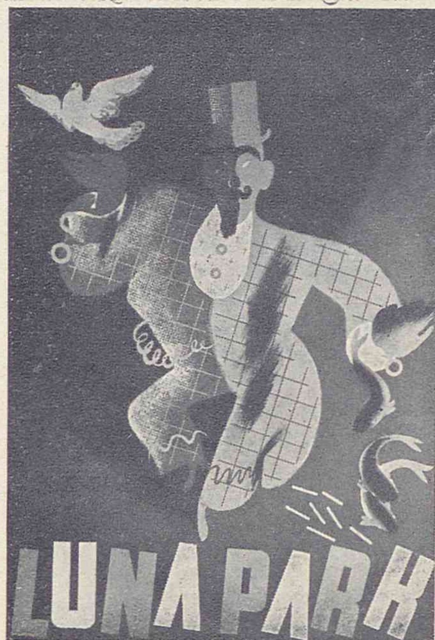
Pracownia malarstwa „czystego" prof. Pruszkowskiego rozporządza sporą ilością zdolnych uczniów, którzy, zdaje się, w większości wypadków, powiększą zastępy naszych pogrobowców impresjonizmu. Zagadnienia formy zdają się tu ustępować na plan dziesiąty przed zagadnieniami koloru.

Pracownia prof. Tichego — ceramika i kompozycja — ma swój odrębny charakter. Kompozycje malarskie dążą tu przedewszystkiem do wydobycia nastroju i wyrazu i tym dążeniom podporządkowana jest technika, traktowana jako środek, a nie jako cel sam w sobie. Zarówno dobór tematów tych kompozycyj, jak ich wyraz są niezbitym dowodem, że młodzież tej pracowni dąży do walorów głębszych w sztuce, nie poprzestając na osiągnięciach czysto formalnych. Ceramika tej pracowni odznacza się dużym wykwintem form i barw.

Pracownia rzeźby prof. Breyera wykazuje w tym roku przeważnie zainteresowanie anatomją ciała ludzkiego. Tak świetne dawniej studja zwierząt nie figu-



Pracownia prof. Kotarbińskiego



Pracownia grafiki reklamowej prof. Bartłomiejczyka

rują w tym roku na wystawie. Technika uczniów poszła w kierunku większej gładkości, przez co prace ich mniej mają charakteru niż poprzednio.

Bardzo celowo, ze zrozumieniem najważniejszych walorów plakatu, prowadzoną jest pracownia grafiki użytkowej prof. Bartłomiejczyka. Wystawione plakaty — jeżeli nawet nie odznaczają się mistrzowskim rysunkiem — frapują barwnością, wesołością, oryginalnością pomysłu, kompozycją prostą i wyrazistą.

Wspaniały jest pokaz pracowni tkanin prowadzonej przez prof. Kintopfa. Znać w wystawionych pracach kierunek wprost mistrzowski. Kompozycja wszystkich tkanin mądra, rytmiczna, przyjemna dla oka, świetnie dostosowana do wnętrz nowoczesnych, kolory dyskretne, bogate, a ściszone — oto zalety, które ze wszystkich niemal tkanin tej pracowni czynią dzieła sztuki najwyższej klasy. Dzieła sztuki *„na codzień"*, możliwej do zużytkowania *wszędzie*, co też jest wielką zaletą.

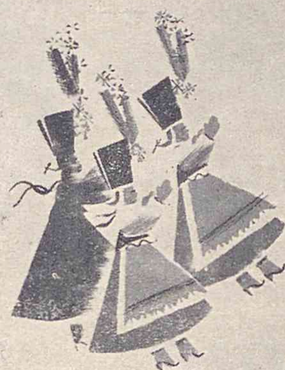
Patrzeć na nie będzie z rozkoszą zmęczony neurastenik miejski w swem ciasnem mieszkaniu, i zamaszysty szlagon w wiejskim dworku, i grymaśny znawca sztuki, i robotnik. Osiągnięcia tej pracowni stawiają Polskę (w dziale tkanin dekoracyjnych) w *rzędzie najbardziej twórczych narodów doby dzisiejszej.* Żałuję niezmiernie, że czytelnikom moim nie mogę dać przyjemności spojrzenia na te piękne rzeczy choćby w reprodukcji fotograficznej. Są one jednak tak dyskretne i subtelne w rysunku, że zwykła fotografja z trudnością oddałaby ich walory. A koloru, który stanowi jeszcze może większy ich urok — reprodukcja bezbarwna wogóle oddać nie jest w stanie.

Pracownia ta wystawia znakomitą makatę Flakowiczówny, bardzo dyskretną w kolorze i doskonale skomponowaną tkaninę Kaisera, wręcz czarujące makatki z kłosami srebrnemi i złotemi Kiedzyńskiej, tegoż Kaisera niebywale wykwintną makatkę jedwabną z ptakami, śliczną szafirową makatę Wawrzkowiczówny i wiele innych, których tylko z braku miejsca wymienić tu nie mogę.

Z cudownemi eksponatami pracowni Kintopfa sąsiaduje przerażająca pracownia kilimów i dywanów, kierowana przez p. H. Bukowską. Wszystke wystawione tu prace są wybitnie przykre w kolorze i barbarzyńskie w kompozycji — jeżeli te bezkształtne ameby, rozłażące się po dywanikach i kilimkach, wogóle nazwać można kompozycją. Są to rzeczy potworne. W pracowni tej wypacza się smak uczniów, o ile go wogóle posiadają, a krzykliwą jarmarczną jaskrawość uważa się za dekoracyjny walor kolorystyczny. O ile tkaniny z pracowni Kintopfa byłyby ozdobą każdego wnętrza, o tyle kilimki i dywaniki z pracowni p. Bukowskiej nawet w chłopskiej chałupie raziłyby swoją ordynarnością. Polacy mają autentyczny bardzo piękny folklor, mają sztukę łowicką, krakowską, podhalańską, poleską, kurpiowską, wileńską, i tyle innych regjonalnych o wartości niezaprzeczonej i często fascynującej. Ta udawana chłopskość, którą się w tej pracowni produkuje w Akademji, jest jakiemś bolesnem nieporozumieniem. Co komu po tem? Do czego to ma służyć? Dla kogo to jest przeznaczone?



Pracownia malarstwa prof. Kowarskiego



Pracownia prof. Bartłomiejczyka

Drugie nieporozumienie — to pracownia meblarska i architektura wnętrz prof. Jastrzębowskiego. Krzesła o pomylonych proporcjach, dziwaczne, dążące par force do oryginalności — oto wyraz źle pojętego starania o własny styl w meblarstwie. Meblarstwo jest kunsztem niezmiernie starym, podlegającym bardzo powolnej ewolucji i żadne, rewolucyjne hopki niczego wartościowego tu nie wprowadzą. Gwałtowne poszukiwanie *„czegoś, czego jeszcze świat nie widział"* — to tylko dowód braku znajomości tego, co świat dotąd stworzył.

Jeżeli — w imię wygody — meblarstwo nowoczesne często poświęca ozdobność, to pokraczne twory pracowni Akademji nie mają nawet tego atutu, gdyż są nietylko brzydkie, ale i potwornie niewygodne.

Pracownia meblarska prof. Schneidera też nie jest lepsza. Pewne krzesło o trzech nogach, na którem nie sposób utrzymać równowagi, to istny koszmar. Do mebli stanowczo nie mamy szczęścia: są przeważnie albo bezsensownie dziwaczne, albo beznadziejnie banalne.

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

MIĘDZY LĄDEM A ŁOŻEM

Wtorek 16-go. A więc, żegnaj piękna Francjo! Ostatnie liny łączące nas z ziemią zostały przez kapitana zręcznie odcięte scyzorykiem marki Sorrento. Statek zakołysał się potężnie, jak panna w tańcu, poczem żwawo pomknął w dal.

Stoimy na pokładzie milczący i niemi, śląc ostatnie spojrzenia w stronę znikającego lądu. Rześka morka pędzi nas z szybkością dwudziestu węzłów na godzinę. Robotą tych węzłów zajmują się specjalnie wykwalifikowani marynarze. Im więcej narobią, tem szybciej jedziemy.

Środa 17-go. Od paru godzin jesteśmy na oceanie. Nigdzie żywej duszy, naokoło woda, ani kawałka ziemi, czyli gleby. Ciekaw jestem jak tu ludzie mogą żyć w takich warunkach terenowych.

Czwartek 18-go. W dalszym ciągu sama woda.

Piątek 19-go. Ditto.

Sobota 20-go. Nareszcie coś nowego. W oddali zauważyłem horyzont. Lepszy już horyzont niż nic.

Podczas obiadu dowiedzieliśmy się z przerażeniem, że radjo przestało działać. Jakaś złośliwa ręka włączyła do drugiego obwodu strojonego metalową kotwicę, wiszącą zazwyczaj przy dziobie okrętu. Aparat się rozstroił i nie chce już grać. Jesteśmy odcięci od świata. Najwięcej martwi się kapitan, który całą wiedzę kierowania statkiem czerpał z komunikatów dla „żeglugi i rybaków".

Niedziela 21-go. Jedziemy przed siebie, zdani na łaskę losu. Nikt nie wie, czy w dobrym kierunku. Jedyna nadzieja, jaką pokładaliśmy w busoli, również zawiodła. Okazało się, że nieuczciwy sternik, co wieczór cerował sobie skarpetki igłą magnesową, niszcząc w ten sposób jej własności kierowania się czarnym końcem ku północy. Obecnie igła stale zwraca się ku sternikowi, co uniemożliwia orjentację.

Poniedziałek 29-go. Od tygodnia błądzimy po niezmierzonych przestrzeniach oceanu.

Wczoraj, kiedy wszyscy zebraliśmy się w dolnym salonie w stylu Franciszki Elżbiety, celem omówienia groźnej sytuacji, wpadł palacz, zdyszany jak panna w tańcu, pytając czy czasem nie ma ktoś z nas zapałek. Ogień wygasł mu pod kotłami i maszyny stoją. Nikt oczywiście zapałek nie posiadał.

Wtorek 30-go. Stoimy w dalszym ciągu na wodzie, kołysani falami i przypiekani niemiłosiernie promieniami tropikalnego słońca. Niesamowity upał wpływa ujemnie na czułość instrumentów. Sekstans np. od paru dni pokazuje stale czwartą popołudniu, a barometr szybkość dwunastu węzłów na godzinę, chociaż marynarze od dawna nic już nie robią.

Nadomiar złego kończą się zapasy żywności i słodkiej wody. Wodę zawsze dostawaliśmy morską, tylko kucharz ją słodził.

Środa, 31-go. Dziś, po raz ostatni otrzymaliśmy racje żywnościowe: kubek wody i trzy śledzie.

Czwartek 32-go. Wisi nad nami widmo śmierci głodowej, nie chcąc więc czekać na krytyczny moment, zarżnęliśmy trzy tłuste Angielki, ciągnąc zgodnie ze zwyczajem morskim używane wykałaczki.

Piątek 33-go. Jak dotychczas wszystko jest w najlepszym porządku. Przeżyliśmy wszystkie możliwe nieszczęścia, jakie na swych bohaterów spuszczają autorzy powieści dla dorastającej młodzieży. Niepokoi nas tylko jedno: dlaczego okręt jeszcze nie przecieka. Stoimy na środku oceanu, maszyny nie pracują, radjo nie gra, żywności brak, nawet sternik zwarjował i, podciąwszy sobie żyły u rąk, skoczył wprost w paszczę rekina z okrzykiem: „Pikrat! pikrat!", a okręt ani rusz nie chce przeciekać. Nie i nie.

Wtorek 37-go. Snujemy się błędnie po pokładzie, z cichą melancholją w oczach. Co chwila słychać pytanie — czy już? — Czy można już zaczynać? Chodzi mianowicie o budowę tratew. Z chwilą kiedy okręt tonie wszyscy, jak wiadomo, ochoczo odpływają na tratwach, żeby po paru dniach zostać wyratowanym przez jacht miljarderów amerykańskich.

Środa 38-go. Nareszcie! Woda dostała się do wewnątrz! Jakiś młodzieniec wydłubał pilnikiem dziurę w dnie statku, wkładając w to wiele pracy i zapału. Niestety, kapitan w przykrem poczuciu obowiązku, zmuszony był otwór zalepić plasteliną. Ostatnia nadzieja zawiodła. Tem niemniej zbudowano jedną tratwę, zrabując wszystkie maszty. Dobre i to.

Czwartek 39-go. Głód, pragnienie i upał wyzwoliły z nas najdziksze instynkty. Porzuciliśmy odwieczny zwyczaj ciągnienia wykałaczek. Jadamy obecnie wszystkich pasażerów bez różnicy wieku i tuszy, kierując się wyłącznie kolejnością alfabetyczną.

Piątek 40-go. Skonsumowaliśmy dziś ostatnie czternaście osób z litery K. Kucharz przyrządził znakomitą pieczeń: dotychczas najlepiej smakowała mi pewna blondynka na C, ale musiałem zmienić pogląd w miarę posuwania się listy ofiar.

Niedziela 42-go. Naokoło ciągle woda. W dali przesuwają się jakieś okręty. Kapitan twierdzi, że to fatamorgana. Nie zwracamy więc na nie uwagi, choć nieraz podpływają blisko, pytając przez tubę, czy nam czego nie trzeba i czemu tak stoimy. Złudzenie ludzkiego ucha.

Bez daty. Mam silną tropikalną gorączkę. Majaczę....

Bez daty. Z mroków chorej wyobraźni wyrywa mię głos:

Ziemia, ziemia! — Zrywam się z łóżka, podbiegam do okna. Gdzie jestem? Na rogu Żelaznej i Złotej ryczy jakiś typ: — Ziemia, do kwiatów, do wazonów, do doniczek, ziemia, ziemia!

JULJUSZ WIRSKI

OGNISKO DOMOWE... DYMI

Jeszcze „tam“ mieszkali dawni lokarzy, a już się mówiło w całej rodzinie (żona, ja i trzy ptaki): nasze mieszkanie! Tymczasem „nasze“ mieszkanie było zdewastowaną dziurą w nowej willi. Ściany, jak sumienie recydywisty-kieszonkowca, podłogi, jak dusza siedmiokrotnego mordercy. Zamki, okna, wszelka ślusarszczyzna odznaczały się uporem dziedzicznego kretyna. Moje rozmowy z p. inżynierem Heinem miały akcenty tragiczne.

Ale wkrótce radość zaczęła tańczyć po całem naszem, już naszem mieszkaniu. Przyszli malarze, cudowni odnawiacze duszy ścian i zrobili z jednego pokoju niebo, z drugiego raj, a z trzeciego marzenie. Przyszli i zagrały bielą okienne ramy i drzwi. Zapachniało pokostem i farbą. Ślusarz-mechanik dłubał przy zlewie, dłubał w łazience, piłował przy drzwiach, stukał w kuchni. Była to rozkoszna muzyka własnego mieszkania. Serca nam rosły i koszta także. Ale robota szła. W ogródku, gdzie pyszniły się jabłonie, czereśnie, maliny i truskawki (oczywiście teraz bez owoców) śmigał łopatą pan Antoni, rodzaj „dozorcego“ dla całej kolonji. Moja pani, która widziała mieszkanie przed i po metarmofozie, jaśniała, jak zorze Pacyfiku:

— Wiesz, to będzie cudownie!

— Będzie, — przyświadczyłem żarliwie.

— I nasze!..

— Nasze...

Zdaje się, żeśmy się pocałowali.

Dzień wprowadzenia się był dniem uroczystym. Przenosząc skromne umeblowanie z dwuch sublokatorskich pokojów, znajomi tragarze podziwiali mieszkanie narówni z nami:

— Będzie pan sobie mieszkał... no!

W tem „no“ było wszystko.

I naraz z siódmego nieba na dno piekieł: — niema prądu!

— O czem ty myślałeś? — zapytała moja pani zjadliwie.

— Ja? — O nowym wierszu dla ciebie.

— Idjota!

Schyliłem nisko głowę pod ciężarem tego krótkiego słowa. Nazajutrz w biurach spółki elektrycznej spowiadałem się, niczem w biurze policji:

— Ojciec Henryk, matka Jadwiga... niekarani... ja może będę... zarabiam?

— Owszem. Jestem pisarzem.

Podpisałem w stu trzydziestu miejscach piekielną umowę:

— Prąd zaraz będzie.

— Dziękuję. żeby was połamało!

Okazuje się, że musiałem trzykrotnie własnoręcznym podpisem stwierdzić że będę palił 250 watów. Jeżeli o jeden wat, broń Boże, zadużo, automat wyłączy mi prąd. Płacę za prąd i nie wolno mi oświetlać mieszkania, jak mi się podoba. Nie wolno mi mieć radja, żelazka elektrycznego, Elektroluxu. Postanowiłem sobie wziąć pomstę w prasie codziennej i, na Proroka, pomsty dokonam. Zwłaszcza, że w gazowni była ta sama heca, z tłumaczeniem długiem i wyczerpującem, jak będę używał gazu i ile?

Ale dno piekieł osiągnięte zostało w dniu zainstalowania piecyka gazowego. Piecyk przyniesiony grał niklem, gładką powierzchnią metalu, mówił o rozkoszach ciepłej i zimnej wody. Tymczasem gazownicy piecyk założyli, uregulowali, wodę puścili i.. zabierają się do wyjścia.

— A rura wyciągowa?

— Nie możemy wpuścić. Ten piecyk, narazie, będzie wisiał.

— Dlaczego?

— Tu jest gorący luft. Jeszcze będzie wybuch. Nie można.

Anioł domowego ogniska rzucił mi spojrzenie, któreby mogło zabić karpia, stworzenie, jak wiadomo ogromnie oporne śmierci.

— Moja droga, — przecież nie ja stawiałem ten dom.

Przyszli kominiarze, zduni, urzędnicy z magistratu. Okazało się, że w gabinecie moim trzeba wentylator zamurować, bo oddaje, w kuchni to samo. I że wogóle lufty są do luftu, bo „zimne pomieszali się z gorącemi i teraz nic nie wiadomo co i jak“.

Nazajutrz nie było obiadu!...

— Odjeżdżam, — oświadczyła mi żona.

— Bój się Boga, dlaczego?!

— Na sublokatorce miałam obiad, a tu muszę pitrasić na spirytusie.

W kuchni — Adua po włoskiej wizycie. Cała rozwalona! Majster wpakował się do połowy ciała w czeluście tego piekielnego przyrządu do gotowania i ryczy:

— Znowu lufta!

— Prójcie, — krzyczę, — róbcie, co chcecie. Ale, jeżeli jutro nie będzie tu czysto, a kuchnia nie będzie gotować, to was pomorduję!

— Będzie w porządku, dudni majster z luftu, — ja się stąd nie ruszę, póki nie wyszykuję.

No, i nie ruszył się... Ale kuchnię wyszykował istotnie.

Moja pani już podczas kolacji i próbnego gotowania, rozpromieniona:

— Wiesz, kuchenka, jak cacko. I wszystko uprzątnęli. Antoniowa umyła podłogę. Jest biała!

Wrócił mi humor. Wracałem i ja zpowrotem z piekła do raju.

Ale łazienka. Chodzili trzy dni. Potem jeszcze tydzień. Wreszcie oświadczyli:

— Ten luft pracuje za trzy. Tu powinien być piecyk węglowy.

— Nie proszę panów. Tu będzie piecyk gazowy. Tu będzie tak, jak jest zawarowane umową: — łazienka nowoczesna, a nie miejsce do moczenia bielizny i pławienia ryb na piątek.

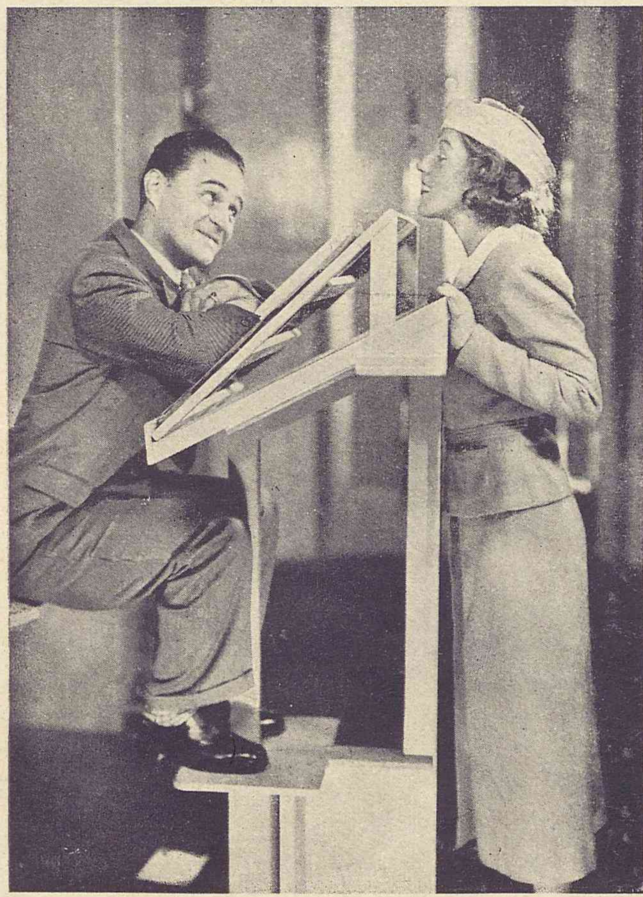
— Jak pan uważa, ale wszystkie linje wentylacyjne są wspólne. Skąd pan ma pewność, że podczas jakichś przeróbek nie zmienią luftu zimnego na gorący i nieszczęście gotowe. Ja bym radził dać rury wyciągowe kamienne specjalnie dla łazienek. Ale to duży koszt: trzeba przebijać podłogi i sufity aż na drugie piętro, aż na dach!

Po długich targach założono mi piecyk. Piekło zapadło się w niepamięć a w „naszem“ mieszkaniu, znowu czystem i cichem zapanował spokój. Siedzę i piszę. Czasami przerywam i patrzę smętnie na zamurowany wentylator. Lufcika w oknie niema, bo nowy kierunek nie uznaje lufcików. I teraz muszę otwierać co godzinę okno, bo palę dużo podczas pracy. Zimno, jak w psiarni. A przebudowanie wentylatora będzie kosztować 25 złotych i znowu mi zapaskudzą ściany i podłogi.

Ale w dalszych rejonach naszego mieszkania pogoda. Cudna jesień tegoroczna wyciągnęła rodzinę (żona, ja i trzy ptaki) do ogródka. Ptaki, rzecz prosta w klatce, bo by zwiały. W kuchni krząta się nasza gosposia i coś kipi.. Niech dobry pan Bóg da długie życie panu Le Corbusier, który wymyślił wielkie okna, proste mury, cudowną architekturę brył i płaszczyzn. Ale niech dobry pan Bóg przedłuży także życie naszym murarzom, żeby ich tępe łby pojęły do czego są otwory w kominach i żeby nie narażali ludzi, kochających świeże powietrze, na śmierć z zaczadzenia.



Bogucki i Grossówna



Dymsza i Brochwiczówna

TEATR DYMSZY

W teatrze Letnim wystąpił Adolf Dymsza. W błahej komedyjce muzycznej zatytułowanej „Podwójna Buchalterja" Dymsza był nieustającym ogniem bengalskim — racą humoru — świecą dowcipu — djabelskim młynem wesołości.

Groteska, komizm, cechy charakterystyczne, muzykalność, choreograficzna giętkość, ekspresja mimiki — oto wszystkie walory, atuty, składniki — tego wielkiego, bezpośredniego talentu, jaki posiada Dymsza.

Jedno jego wyrzucenie ramieniem, jedno spojrzenie, założenie nogi na nogę, lub ruch pohamowanej ucieczki — mają więcej wyrazu, komizmu i ekspresji, niż akcentowanie, podkreślenie i silenie się na wesołość tylu, tylu... innych.

Dymsza ma talent.

To przecina dyskusję. Tam, gdzie inny opracowuje swój komizm czy groteskę — on rzuca ramieniem, marszczy się, robi jeden ruch i... wyraża wszystko, co potrzeba.

Dobrze się stało, że Dyrekcja T. K. K. T. oddała mu do dyspozycji teatr Letni, dodając bardzo dobry zespół artystów w osobach Grossówny, Brochwiczówny, Boguckiego, Łapińskiego, Janeckiej, Orwida, Karczewskiego, Magierówny, Derenia i Opalińskiego.

Autor przeróbki komedyjki E. i A. Golz'ów — Hemar zbytnio się tym razem nie wysilił. Tekst ma kilkanaście dobrych dowcipów, piosenki raczej banalne. Dowcip Hemara jednak w połączeniu z kipiącym szaleństwem Dymszy wystarczył, aby wieczór spędzony w teatrze Dymszy zaliczyć do wesołych, beztroskich, zabawnych wieczorów.

Brochwiczówna i Grossówna tworzyły doskonałą parę zakochanych panienek. Bogucki, Łapiński, niezawodna Janecka i Karczewski to są czary — wesoły kwartet, co bez szarży potrafił od początku do końca bawić nas z powodzeniem. Reżyserował błahostkę Golz'ów — Janusz Warnecki.

L. Ch.

LAGARTERA
WIOSKA HAFTÓW



... kobiety z Lagartery pracują ...

Lagartera, w maju.

Gdy wóz nasz zatrzymał się nareszcie, byliśmy spragnieni i zmęczeni, ale widok białej wioski orzeźwił nas odrazu. Pierwsze wrażenie, które wywiera Lagartera jest zupełnie afrykańskie, skąpana słońcem, domki skrzą się bielą, samochód otacza mnóstwo opalonych czarnookich dzieciaków, ale już zajazd przypomina nam, że jesteśmy w Hiszpanji o dwie godziny zaledwie od Madrytu. A następnie zaraz podczas poobiedniego spaceru widzimy kobiety z Lagartery. Nie należy jednak przypuszczać, że kobiety te również spacerują. Spacerują i wygrzewają się na słońcu jedynie męscy mieszkańcy Lagartery, kobiety pracują; w otwartych wnętrzach domów widzimy jak po dwie, trzy i więcej haftują owe słynne wełniane pończochy, chusty, serdaki lub kolorową włóczką haftowane serwety, słynne nietylko w Hiszpanji, ale i daleko poza granicami kraju, bo hafty z Lagartery są obecnie bardzo modne. Zaglądamy do wnętrz białych domów i widzimy, że artystyczny gust tych kobiet rozwijał się w atmosferze nader pomyślnej, mieszkańcy Lagartery bowiem są jaknajwidoczniej miłośnikami sztuki, domostwa ich, nawet te, w których mieszkają najbiedniejsi, suto przybrane są barwnem naczyniem z ceramiki, tkaninami oraz obrazami świętych; niektóre z tych domów robią wrażenie istnych muzeum sztuki ludowej. Tu i owdzie udaje się nam nawiązać rozmowę, ale ludność Lagartery to nie rozpływający się w uśmiechach mieszkańcy Południa, to Kastylijczycy, poważni i skupieni i, jakkolwiek uprzejmi, jednak pełni rezerwy wobec obcych. Dowiadujemy się, bądź co bądź, że gleba tej okolicy niebardzo jest wydajna, że praca na roli nie daje wielkich wyników i że poza nią dla mężczyzn

... dziewczęta ze śmiechem i śpiewami krążą po uliczkach...





...hafty z Lagartery są obecnie bardzo modne...

niema tu żadnej pracy, natomiast kobiety okresami zarabiają dużo i utrzymują rodziny. Podczas gdy tak gawędzimy, zauważamy, że wioska się ożywia i powstaje jakiś wzmożony ruch, niebawem się też dowiadujemy, że w Lagarterze odbędzie się właśnie wesele. „Dzisiaj?" zapytujemy i otrzymujemy zabawną odpowiedź „dziś, jutro, pojutrze, a może i dłużej". Zaciekawieni, decydujemy przerwać podróż chociażby do rana i rozmieszczamy się jako tako w zajeździe.

Widok wioski zmienił się tymczasem w niezwykły sposób, ożyła jakby i przybrała się w najświetniejsze stroje, chłopcy i dziewczęta odświętnie odziani, szczególnie dziewczęta, ze śpiewem i śmiechami krążą po uliczkach, przynosząc narzeczonej podarki narzeczonego i narzeczonemu podarki narzeczonej. I rzecz dziwna podarki narzeczonej są poważne, trzeźwe, praktyczne, obdarza ona przyszłego swego męża garniturem, krawatem, koszulą, wszystkiem tem, z czego składa się całkowity strój niedzielny, zupełnie zresztą nowoczesny, strój, w którym się będzie żenił, a w którym potem załatwiać będzie wszystkie ważne sprawy i chodzić do kościoła. Narzeczony natomiast obdarza przyszłą swą żonę przedmiotami zbytku, a przedewszystkiem świętemi obrazkami, naczyniem z ceramiki i wszystkiem tem, w co zdobny ma być ich przyszły dom. Podarków jest wiele i późno w nocy słyszymy jeszcze odgłosy pieśni i śmiechów, dźwięki gitary i w jedną z niemi melodję zlewające się bicie w moździerze. Zrana zaś widzimy pochód idący do domu narzeczonej; to orszak weselny udaje się po dziewczynę, aby zaprowadzić ją do kościoła. Inny znów orszak, otaczający pana młodego, kieruje się narazie do... fryzjera. Przed skromnym zakładem fryzjerskim ustawiona jest orkiestra. Co to wszystko znaczy? Ach nic ponadto, że pan młody, przewidujący i dbający o dobre zwyczaje i dobry wygląd swych weselnych gości, zaprasza ich przedewszystkiem do fryzjera i każe ich ogolić. „Gdyby to tak można było", powiada ma towarzyszka podróży, „gości, których się zaprasza w Madrycie na herbatę, zaprowadzić wpierw do fryzjera..."

W kościele pełno i gwarno, jednak kobiety i mężczyźni nie są tutaj razem jak w innych kościołach Hiszpanji; kobiety znajdują się po jednej stronie mężczyźni po drugiej i jakkolwiek zwyczaj ten posiada z pewnością inne jakieś powody, pozostał z zamierzchłych czasów, to tutaj w Lagarterze wydaje się nam obrazowem ujęciem faktu, że kobiety i mężczyźni nie posiadają równych praw i one pracują, oni się przypatrują...

Ale podczas radości weselnej wszystkie te różnice zatracają się, poważna ludność Lagartery zapomina w przeciągu kilku dni o całej swej powadze, uczta weselna, na którą zapraszają rodzice narzeczonej, jest obfita w jadło i napoje i, jak mi szeptem ktoś opowiada, ojciec panny młodej będzie przez lat kilka spłacał zaciągnięte dziś długi...

Po wieczerzy dziewczęta idą

... ujrzeliśmy czarno ubraną kobietę, modlącą się...





...chłopcy i dziewczęta, odświętnie odziani...

słać łoże państwa młodych, a co przytem śmiechu i żartów, żartów niezupełnie przystojnych, łatwo sobie można wyobrazić. Wogóle państwa młodych pod żadnym względem nie oszczędzają i gdy już ich szczęśliwie do domu odprowadzili, co godzina lub dwie, budzą ich chłopaki śpiewem i muzyką, dobijając się do ich okien i żądając aby się ukazali i ugościli ich jak należy.

Najweselszy jest dla widzów trzeci dzień weselny, bo wesele odbywa się już na placu, gdzie gra orkiestra i zabawę rozpoczyna panna młoda swym słynnym „tańcem jabłka". Okazalej jeszcze wystrojona niż inne dziewczęta, w trzy lub cztery haftowane spódnice, z pięknem przybraniem na wysoko i dziwacznie zaczesanych włosach, występuje ona na środek koła, trzymając w ręku kij z zatkniętem jabłkiem. Jabłko jest rozcięte w ten sposób, że można weń wsunąć jakąś monetę lub baknot i goście weselni zkolei tańczą z narzeczoną po kilka minut, przyczem obowiązani są zatknąć coś w owo jabłko. Panna młoda po każdym tańcu wyjmuje z jabłka dar i tańczy dalej. W ten sposób zwraca sobie choć poczęści przynajmniej koszta weselne.

Czas naglił, należało jechać dalej i mieliśmy już wyruszyć, opuszczając rozbawiony barwny tłum, gdy ktoś nam zwrócił uwagę na to, że bawi się cała Lagartera, z wyjątkiem wdów. „Chcą państwo odwiedzić mą siostrę?" szepnęła jedna z dziewcząt i po chwili ujrzeliśmy we wnętrzu jednego z biedniejszych domów klęczącą, czarno ubraną kobietę, modlącą się przy świetle szeregu świec. Kilka tygodni temu zmarł jej mąż, i tak oto modlić się będzie przez rok cały, nie biorąc udziału w żadnej zabawie i przerywając sobie modły tylko aby... haftować.



Za chwilę znikła z oczu naszych Lagartera, wioska hafciarek, i wóz mknął dalej przez pustynną Kastylję...

Z. Kramsztyk



... znikła nam z oczu Lagartera, wioska hafciarek...

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta", której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Byłoby to dziecko „twoje" i „jego". — Jednem słowem „wasze". Wyglądałoby zdrowo i różowo. Dom byłby „wasz" wspólny. I życie byłoby nowe, nie samotne, radosne!... Boże, mój Boże, czy zdajesz sobie z tego sprawę, że tak wyglądałoby dopiero prawdziwe szczęście? Nie inaczej — tylko właśnie tak. Na drugim, trzecim planie byłyby te inne sprawy. Te sprawy waszej pracy, waszych talentów, waszych zajęć, waszych finansów, waszych rodzin, waszych znajomości, waszego... świata!...

Ty chciałabyś za niego wyjść zamąż! Czy zdajesz sobie z tego sprawę? I jeżeli on teraz nie oświadczy ci się, a będzie chciał tylko z tobą romansować — będziesz nieszczęśliwa. — Już ci nie wystarczy przelotne szczęście, przelotny szał. Chcesz go przy sobie zatrzymać na zawsze. — Jakże kochasz go egoistycznie i po mieszczańsku. Chcesz go zamknąć w czterech ścianach tak zwanego „domowego ogniska". chcesz go pozbawić niezależności. — Takiego człowieka, tak chcesz spętać! — Nie uda ci się to. Wiesz o tem dobrze, że on ceni wolność ponad wszystko. Już raz kiedyś uciekł z kraju dlatego, że nie chciał zależeć od krytyki i od uczucia, które miał dla ciebie... Więc?...

Więc teraz tembardziej wyjedzie.

Już robi jakieś plany na przyszłość. Jakieś projekty powrotu do Francji...

Matka mówi, że Lipowski „nie ma w stosunku do ciebie poważnych zamiarów i zawraca ci tylko w głowie".

Jakaż na to rada? „Przecież nie będziesz go łapała na męża". Więc co? — Kompromis? Epizod miłosny? Krótkotrwały romans, jak z tą jakąś M-le Jenlys, czy M-le Gilcun?...

Marto... masz ochotę płakać...

„KWIECIEŃ".

Tak się składa, że widujecie się ze sobą codziennie. Albo czasem nawet dwa razy na dzień.

Marta maluje twój portret.

Pozatem, ty czytasz jej swoją nową sztukę.

Wieczorem trzeba Martuni, Martusi, Tuni, Tusi, pokazać ten film, który oglądałeś w Paryżu i którym się tak zachwycałeś.

Przecież musicie być jeszcze raz i to razem z nią na ostatniem przedstawieniu twojej sztuki, aby posłuchać twoich myśli, zobaczyć jej dekoracje i przypomnieć sobie, jak to było na tej generalnej próbie przed kilku miesiącami.

Pamiętacie?

Ty stałeś w drugim rzędzie krzeseł i rozmawiałeś z reżyserem. Zdaje ci się tylko, że to było w drugim rzędzie. Nic podobnego! Ona cię zapewnia, że stałeś w trzecim rzędzie, trochę więcej z lewej strony i zielony refleks padał na twoją głowę, nachyloną nad egzemplarzem sztuki.

Marteczka stała w loży i miała na sobie kostjum granatowy i białą bluzkę.

Nic podobnego! To była sukienka z kołnierzem!

Sukienka? Z kołnierzem? Może być. — Ale w każdym razie coś białego miałaś pod twarzą.

Pierwsze słowa do siebie powiedzieliście w bufecie. Nie. W palarni na dole. Było tam zimno, biało od światła i kolorytu ścian i pachniało stęchlizną. Przy tobie stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał popielaty garnitur. Ona z nimi flirtowała. Kokietka! Obrzydliwa kobieta! Flirciara!

To on jest kobieciarz, Don Juan, Casanova! Oko robił do jej kuzynki i śmiał się z tą Wińczówną.

Trzeba przestać kłócić się, bo właśnie rozpoczyna się trzeci akt.

Ktoś rozmawia za nimi:

— „Sztuka, jak sztuka—nic nadzwyczajnego..."

— „Przechwalona".

— „Jak to się nazywa ten autor"?

— „Nie wiem. Zobaczę w programie". (Szelest kartek) „Aha. Lipowski".

Jurek uśmiecha się do Marty bez słowa.

Czyż można mu się dziwić, że chce „wiać" do Paryża i że nie chce dla „takich" ludzi pisać? Czyż mu się można dziwić, że chce pracować dla publiczności, która umie płakać, śmiać się i odczuwać w teatrze Odeon, Michodière, Studio, Mathurins i t. d.

* * *

Noc jest ciepła, księżycowa. Na placyku przed teatrem posadzono już bratki. W świetle latarni żółcą się one wąską rabatą i pachną. Nie, bratki nie pachną, nie mają żadnego zapachu. A właśnie że pachną. I pachnie ziemia skopana. I pachnie wiosna. I księżyc srebrem obrzeża przepływające chmury.

Przechodzi koło was czarno ubrana kobieta w żałobie.

Czyż to możliwe, żeby w taką noc byli smutni ludzie na świecie?

Ta kobieta ogląda się za wami. Przecież to jest matka Emila, biedna pani Kossacka!

Oh Marto. Zapomniałaś zupełnie o niej, tak jak zapomniałaś o całym świecie.

* * *

Lipowski już od godziny pozuje do portretu, siedząc bez ruchu na tem krześle. Zupełnie, jak zawodowy model — ani drgnie, ani nawet nie zapali papierosa. Ścierpła mu już cała lewa noga i zdrętwiał kark, ale trudno. Trzeba Marteczce ułatwić pracę — to się rozumie. Kiedy on ma w głowie koncepcję i pióro w ręku, nie znosi, żeby mu przeszkadzano. Więc on jej nie przeszkadza i już od godziny siedzi bez ruchu na tem krześle. Uff...

Stalugi zasłaniają mu dziewczynę do połowy. Więc widzi tylko jeden biały rękaw suto zmarszczony nad zaróżowioną skórą łokcia, wychyloną z poza stalug głowę i nogi w bronzowych półbucikach, stojące wygodnie całą stopą na malowanych deskach podłogi.

Kiedy odkręca tubę i napuszcza farbę na paletę, opada jej przy tym ruchu pasmo jasnych włosów na czoło.

Kiedy przygląda mu się, podnosi cienko zarysowane bronzowe brwi. Kiedy maluje, zsuwa je w skupieniu. Rzęsy jej podnoszą się i opadają. Są długie i połyskliwe nad oczami dużemi i przezroczystemi.

Kiedy chce przyjrzeć się swojej pracy — odchyla w tył głowę i zagryza usta. Nic w tym ruchu niema z pozy.

W białym fartuchu jest jej do twarzy. Nie ubrudziła go i nie pogniotła, jak to zrobił dwa miesiące temu Hańcza, kiedy mu Jurek pozował do portretu. I nie obtarła ani razu rąk o włosy, lub meble, jak to ma zwyczaj robić mistrz Chłopski.

Kobieta...

Jakiem łgarstwem jest to powiedzenie, że „kobieta współczesna do wszystkiego jest podobna, tylko nie do kobiety".

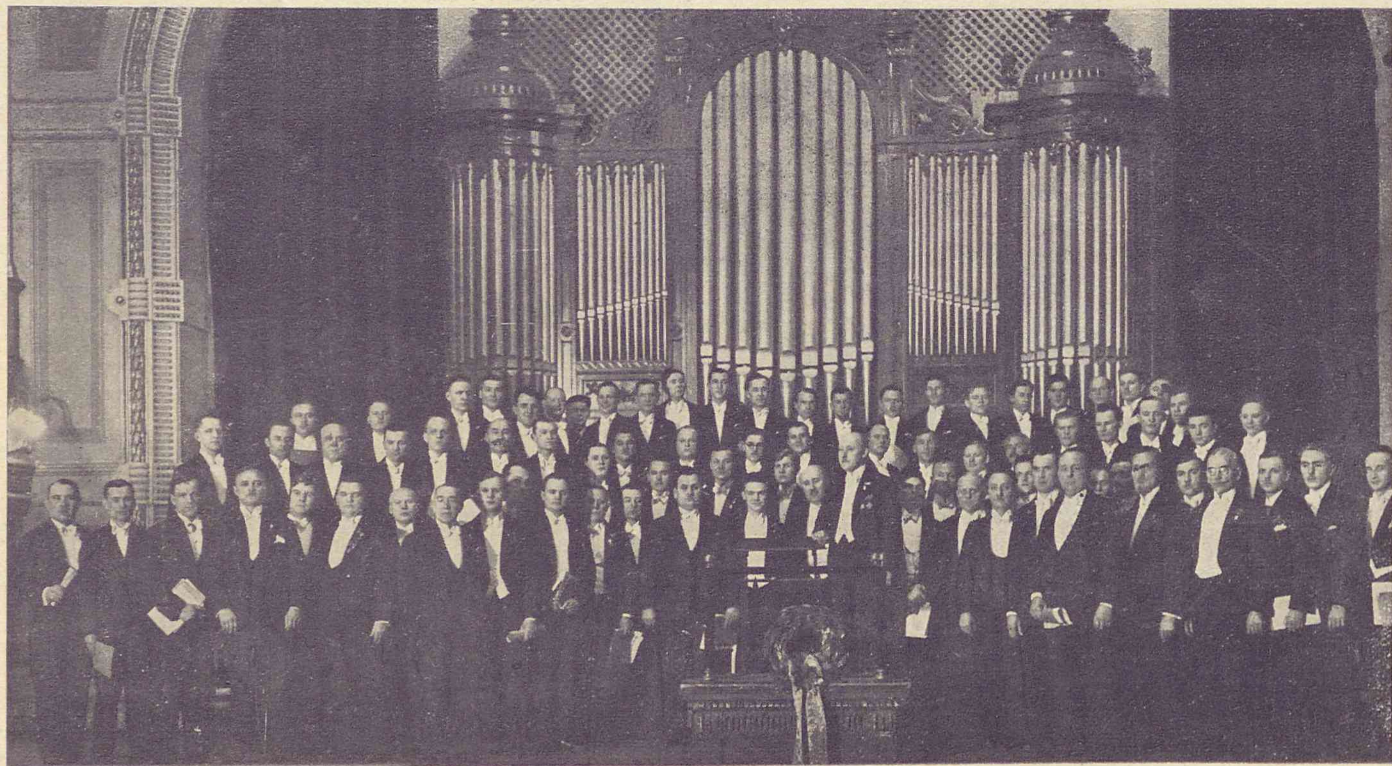
Jakiem łgarstwem jest to powiedzenie!

W tej chwili Marteczka coś tam zeskrobuje trzonkiem pendzla. Coś tam jeszcze poprawia, szybko poruszając jakimś małym pendzelkiem i coś tam maże dużem pendzliskiem... Wreszcie kładzie paletę.

Na dzisiaj dosyć.

Lipowski ma prawo wstać. Rozprostować nogi. Zapalić papierosa, a nawet zajrzeć do portretu.

Jakże go ona widzi? (D. c. n.).

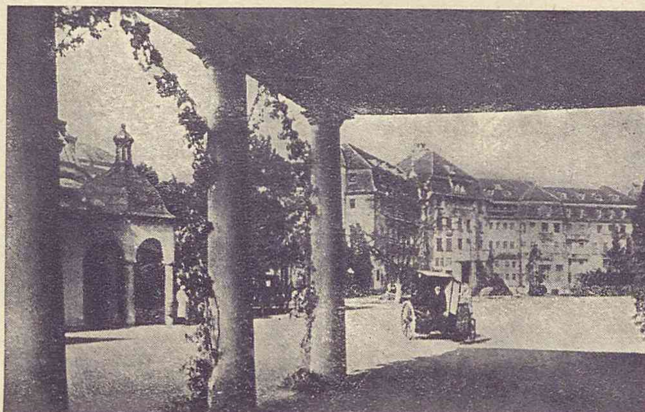


Chór Towarzystwa śpiewaczego „Harfa" w Warszawie pod dyrekcją prof. Wacława Lachmana zdobył najwyższą nagrodę Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w turnieju śpiewaczym 58 chórów, zorganizowanym w Filharmonji Warsz., w dniu 29 ub. m. w czasie I-go Zlotu Śpiewaków Polskich.



„DOM POLSKI" W PISZCZANACH (fasada frontowa)

WYCIECZKI KURACYJNE



ŁAZIENKI NAPOLEONA

«PISZCZANY»

reumatyzm — artretyzm — ischias — nerwobóle — urazy po złamaniach i zwichnięciach, zaburzenia uwiądu pacierzowego — newralgja — choroby kobiece — dma — lumbago — wysięki — choroby skóry.

Dla swoich Szanownych abonamentów(tek) i czytelników(czek) organizuje „ŚWIAT" 3 zbiorowe wycieczki kuracyjne po 21 dni do

«DOMU POLSKIEGO»

KARTA KORESPONDENCYJNA

Administracja

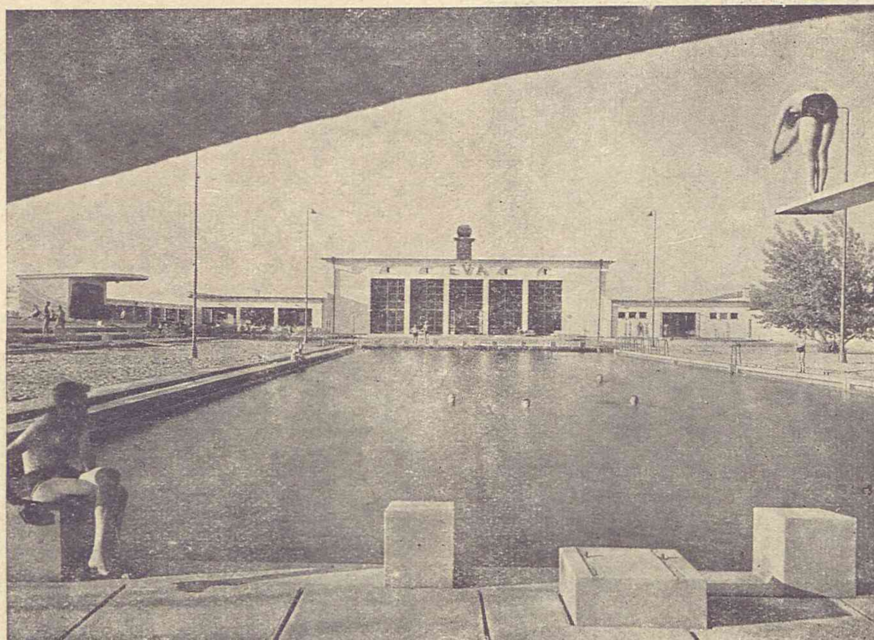
Tygodnika „ŚWIAT"

WARSZAWA 1

Szpitalna 12

Prosimy wyciąć i nadesłać do Administracji Tygodnika „ŚWIAT".

Odwrócić!



BASEN TERMALNY I PLAŻA „EWA" W PISZCZANACH.

Na warunkach pobytu ryczałtowego wraz z paszportem, wizą i kosztami podróży

(Z WARSZAWY) **zł. 645.—** klasą 3-cią—dla prenumeratorów **630 zł.**

W CENIE **zł. 675.—** klasą 2-gą „ „ **660 zł.**

Wyjazd **1**-szej wycieczki kuracyjnej **25** Lipca, Powrót do Warszawy **16** Sierpnia 1936 roku.
„ **2**-giej „ „ **8** Sierpnia, „ „ „ **30** Sierpnia 1936 roku.
„ **3**-ciej „ „ **22** Sierpnia, „ „ „ **13** Września 1936 roku.

Administracja Tygodnika „ŚWIAT"

WARSZAWA 1
Szpitalna 12

Zgłaszam uczestnictwo w 21-o dniowej zbiorowej wycieczce kuracyjnej na warunkach ustalonego ryczałtu w „DOMU POLSKIM" w PISZCZANACH

W KOLEJCE: .... **DATA WYJAZDU:** .... **IIOŚĆ UCZESTNIKÓW:** ....

1. **Nazwisko i imię** .... **Stanowisko** .... **Adres** ....
2. „ .... „ .... „ ....
3. „ .... „ .... „ ....
4. „ .... „ .... „ ....

Zarazem proszę o nadesłanie prospektów.

.... **dn.** .... **1936 r.**

(Podpis)

SZCZEGÓŁY PISEMNIE, OSOBIŚCIE I TELEFONICZNIE!

TELEFON ADMINISTRACJI ▶ 5.04-00

CZY SZCZĘŚCIE JEST W MIEŚCIE, CZY NA WSI?

Rozwój miast, zapoczątkowany w końcu wieków średnich, w wieku XVIII już osiągnął swoją pełnię. Miasta, ściśnięte murami obronnemi, miały wąskie ulice i warunki wysoce niehigjeniczne. W drugiej więc połowie XVIII wieku wycieńczone życiem miejskiem sfery przodujące, zaczęły tęsknić do cichego życia wiejskiego. Zaczyna się wytwarzać specjalny typ letnich rezydencyj: Wersal, Sans Souci, Wilanów, gdzie gromadzono bezcenne skarby sztuki i gdzie możni tego świata, przebierając się za pasterzy, oczywiście z zachowaniem całego przepychu zewnętrznego, z upudrowanemi i ufryzowanemi barankami, zbrojni w laski pasterskie, upiększone jedwabnemi wstęgami, starają się tworzyć wiejską sielankę.

Wiek XIX — maszyna parowa, elektryczność, motor spalinowy, zaczynają zastępować pracę ludzkich rąk. Taniość produkcji podnosi stopę życiową. Miasta rozrastają się w szalonym tempie, pękają okowy murów obronnych, wytwarza się cała nauka o higjenie, o potrzebie odpoczynku po pracy. Potrzeba stwarza organ: teatry, zabawy ludowe, kinomatografy i t. d. Powstaje wielki ciąg ludzi, zraszających dotąd swym potem ziemię, do miast, do lekkiej pracy, do łatwej zabawy.

Miasto swem gorączkowem życiem, jak moloch pożera dziesiątki i setki tysięcy spokojnych wieśniaków. I tak, jak każda akcja, wywołuje reakcję, tak w wieku XX występuje znów pęd ku wsi. Jest on o wiele racjonalniejszy, niż jego poprzednik, z przed dwóch wieków.

Nikomu już nie przychodzi do głowy przebierać się za fałszywe barokowe pasterki, pasterzy, fryzować i pudrować baranki i t. d., piękno natury jest piękniejsze od każdej sztuki.

Samochód, kajak, wycieczki zbiorowe wyludniają latem miasta. Człowiek staje się przezorny, dba o swoje płuca, nerwy i muskuły.

Ale czy przez to powinien przestać dbać o swoje szczęście? Czyż wyjeżdżając na lato może zapomnieć, że szczęście śpi zaczarowane w losie loteryjnym. A przecież 16 lipca odbywa się ciągnienie drugiej klasy — kto w radosnym rozgwardjaszu przedwyjezdnym zapomniał kupić, czy odnowić los, niech się zastanowi, jeszcze czas. Odpoczywając po trudach całorocznych, nie trzeba mieć myśli zaprzątniętej tem, że przez zapomnienie, zamknęło się drogę szczęściu, które czuwa stale.



La Mome Piaff, tegoroczna rewelacja paryska, która ze śpiewaczki ulicznej stała się w ciągu paru dni jedną z ulubionych śpiewaczek kabaretowych Paryża, opłakuje śmierć kolegi - artysty.

Sukces p. Chluskiego

Jak dowiadujemy się, wykonanie stroju dyplomatycznego nowomianowanego Ambasadora R. P. p. Wacława Grzybowskiego, który wyjechał 1 lipca do Moskwy, powierzone zostało znanemu zakładowi krawieckiemu „Alex" — O. Chluski i A. Piotrowski (Wilcza 12), słynącemu wśród wyższych sfer stolicy, z nieskazitelnego kroju i najstaranniejszego wykonania.

Specjalnem powodzeniem w firmie „Alex" cieszy się dział mundurów dyplomatycznych, prowadzony osobiście przez p. O. Chluskiego, znanego fachowca, b. kierownika renomowanych firm paryskich i warszawskich.

Zaznaczyć należy, iż niewątpliwą zasługą p. O. Chluskiego jest zainicjowanie i wykonanie pierwszych mundurów dyplomatycznych w Polsce.

Na stronie 3-ej zamieszczone zostało zdjęcie p. Ambasadora W. Grzybowskiego w stroju dyplomatycznym.



SPÓDNICZKA CZY SHORTY?

Spódniczka — shorty — jupe culotte

Shorty — czy spódniczka? Temat rozmyślań i dyskusji wszystkich pań przed wyjazdem na lato. Odpowiedzieć można dyplomatycznie: jak dla kogo i jak gdzie.

Zacznę od sprecyzowania, dla kogo shorty wogóle nie są — choćby się nie wiem jak przy nich uparł. *Nie są* — dla wszystkich tych kobiet, które mają budowę, powiedzmy delikatnie, *bardzo kobiecą*. Czyli, mówiąc dokładniej i nieco brutalniej: które mają kształty zbyt obfite. Wychodzące z pod krótkich shortów grube, słoniowate nogi, oraz królujące nad shortami bujne, przelewające się wdzięki — jest to widowisko groteskowe. Żadna chyba z moich czytelniczek tak wyglądać nie ma zamiaru.

Shorty — króciutkie płócienne lub flanelowe białe majteczki (patrz ilustr. 2) — krajane kloszowo, albo układane w fałdy, albo, przy idealnie smukłej figurze, dość obcisłe i ozdobione na obu bocznych szwach ciemnym lampasem — to strój sportowy, którego nie jestem zwolenniczką. Ma on rację bytu tylko na plaży, do spaceru albo kąpieli słonecznej, zamiast noszonego jeszcze niedawno trykotu kąpielowego, który w sezonie bieżącym zdegradowany został do wyłącznie wodnych swych przeznaczeń.

Ale i na plaży shorty prezentować mogą tylko osoby młode, bardzo szczupłe, świetnie zbudowane, o nogach długich, prostych, strzelistych, jak, nieprzymierzając, sama Konopacka-Matuszewska. Kto zaś nie jest swych kończyn dolnych tak zupełnie pewien, ten raczej niech się zaopatrzy na plażę w spódniczkę, zapinaną na kilka wielkich guzów, łatwą do zdejmowania bez przeciągania jej przez głowę. (patrz ilustr. 1). Do shortów i do spódniczki jednakowo nosimy w tym roku szczątek bluzeczki czy stanika, złożony przeważnie z osłaniającego piersi trójkąta barwnej materji, związanej w pasie i wmarszczonej przy szyi w warkoczyk, z tejże materji spleciony. W dni chłodniejsze, kiedyby nam, zwłaszcza nad morzem, było w nagie plecy za chłodno, zastąpimy ten trójkącik cienką trykotową sportową bluzką z krótkiemi rękawami, albo też na ów trójkącik nakładać będziemy zabawną flanelową pół-oficerską marynarkę, najlepiej granatową. Młoda i smukła sylwetka kobieca wygląda w takim stroju, w połączeniu z białemi shortami, jak zręczny chłopak w wieku szkolnym. Ten typ ma u niektórych mężczyzn powodzenie...

Natomiast nikomu nie radziłabym shortów na plac tenisowy — chyba na wsi, we własnym parku, gdy nas oko ludzkie nie widzi. Trudno mi zrozumieć szaloną pewność siebie — i swych uroków — którą okazują różne szampionki białego sportu, beztrosko prezentujące zdumionym i krytycznym oczom publiczności swe wielce niedoskonałe anatomje, przybrane w ten właśnie kusy i chłopięcy ubiorek. Nasza skądinąd znakomita tenisistka, Jędrzejowska, której świetne zwycięstwa w Wimbledonie radowały każde polskie sportowe serce, ma niestety zwyczaj ukazywania się w shortach wielotysięcznym tłumom zagranicznym, które podziwiają napewno jej grę, ale dalekie są od podziwiania jej... linji nóg. Że też nikt na to pannie Jadzi nie zwróci życzliwie uwagi...

Radzę moim czytelniczkom zrobić następujące doświadczenie: stanąć przed dużem lustrem, aby się dokładnie widzieć od stóp do głów. Postawić przed sobą jakiekolwiek zdjęcie z filmowego pisma ilustrowanego, gdzie „gwiazd" w shortach czy kąpielowych trykotach zawsze się znajdzie mnóstwo. Obok zaś umieścić zdjęcie panny Jadzi — na korcie tenisowym, w shortach. Teraz przyjrzeć się własnemu odbiciu w lustrze bardzo uważnie, bez pośpiechu, i bez optymistycznego zachwytu. Jeżeli anatomja pani zbliża się raczej do proporcji aktorki filmowej — niech tam, może sobie pani ostatecznie pozwolić na fantazję shortów. Ale jeżeli sylwetka pani raczej przypomina atletyczną budowę naszej szampionki — z jej defektami kończyn — wówczas niech pani przywoła na pomoc swój rozsądek i swój dobry gust. *Shorty nie są dla pani!*

Nawiasem dodam, że Polki, używając naogół mało sportów, stoją pod względem doskonałości budowy daleko poza Amerykankami, Angielkami, a nawet — tak, niestety — poza ostatniem pokoleniem Niemek. U nas panuje jeszcze typ kobiet krótkonogi i krzywonogi, pozostałość po dawnych pokoleniach, które sportu nie znały. Dlatego *w Polsce specjalnie* moda shortów wydaje się raczej ryzykowna. Bo celem ubrania jest przecież podkreślać nasze zalety, a nie odsłaniać nasze braki — prawda?

Jest jednak pewna forma stroju męskiego, bardzo nad morzem pożyteczna na wycieczki łodzią — myślę o jupe-culotte. Nie jest ona tak krótka jak shorty, sięga jak zwykła spódnica niżej kolan, i układa się jak spódniczka. Granatowa całość, złożona z takiej jupe-culotte i z wyżej wspomnianej marynarskiej kurtki — to idealny strój na dalsze wyprawy motorówką czy żaglówką. Taki komplet przedstawia 3-cia sylwetka na naszej ilustracji.

Lustucru

ANEGDOTY TEATRALNE

Scena samobójstwa Strełkowa w „Tamtym“ Zapolskiej — to popis dla aktora. Jest to jedna z najefektowniejszych scen współczesnego repertuaru dramatycznego.

Józef Sosnowski tę rolę i końcową z niej scenę zaliczał do swych majstersztyków.

Jako aktor skrupulatny i staranny pod każdym względem—zawsze, przed sceną samobójstwa, sprawdzał osobiście, czy inspicjent jest na miejscu z nabitym rewolwerem i czy nabój jest wypróbowanej jakości. Zależało mu bowiem na tem, aby nie zawiódł w decydującej chwili huk wystrzału.

Scena samobójstwa była zaaranżowana bardzo pomysłowo i zazwyczaj robiła na widzach wstrząsające wrażenie.

Sosnowski grał z wielkiem przejęciem. Spoglądał z przerażeniem w lufę rewolweru (nienabitego), drżał na całem ciele i nerwowe drgania przebiegały jego bladą twarz. Przymykał oczy, jakby pragnąc nie widzieć zbliżającej się nieuchronnie śmierci. Wahał się, zwlekał z naciągnięciem cyngla. Zbliżał się chwiejnym krokiem do ikony; bił przed nią pokłony, żegnał się... Wreszcie cichym, dziecięcym głosem nucił: „Bliska uż smiert, bliska maja magiła“ — dodawał: „E— naplewat“; wkładał lufę rewolweru w usta... Wówczas inspicjent, stojący tuż przy dekoracji, strzelał ze swego rewolweru. Efekt był łudzący.

Pewnego wieczora rekwizytor przez niedbalstwo wręczył inspicjentowi (który jest odpowiedzialny za wszelkie efekty dźwiękowe) nienabity rewolwer. Inspicjent — zapytany przez Sosnowskiego, czy wszystko w porządku, zaniedbał sprawdzić stan rewolweru i odpowiedział: „All right!“ Sosnowski odegrał całą mimiczną scenę przed samobójstwem, zanucił refren pieśni, powiedział ostatnie słowo przed strzałem: „Naplewat“ i włożył lufę rewolweru do ust. Spuścił kurek....

Czeka... Czeka... Chwieje się... Powtarza drugi raz, głośniej: „Naplewat!“

A tu nic: za kulisami cisza. Zdenerwowany do ostatnich granic usłyszał tylko, jak inspicjent napróżno naciska cyngiel rewolweru. Huku nie słychać...

Nie mając innego wyjścia, aby zakończyć tą denerwującą scenę, aktor padł na podłogę i kurtyna zapadła.

Sosnowski — wściekły na inspicjenta za popsucie mu najefektowniejszej sceny, wybiegł za kulisy, szukając winowajcy, który przezornie skrył się gdzieś odrazu wśród nagromadzonych za kulisami dekoracyj.

Sosnowski oprócz innych zalet miał i tę, bardzo rzadką wśród aktorów, że nawet w chwilach największego zdenerwowania, jakie nieraz aktorowi nastręcza scena — umiał się opanować.

Kiedy stanął oko w oko ze skruszonym inspicjentem, który nie śmiał w oczy spojrzeć ofierze swego niedbalstwa — Sosnowski spokojnym tonem powiedział:

— Nie zapomnę tego panu nigdy...

— Mistrzu, nie wiem doprawdy... — wybełkotał inspicjent, nie wiedząc, jak przepraszać.

Ale aktor przerwał mu:

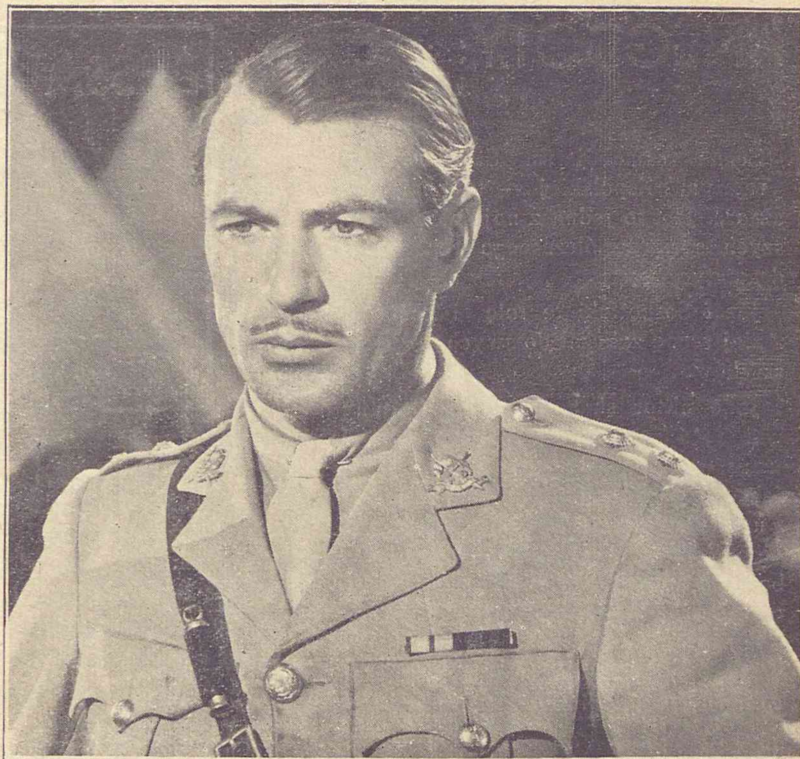
— Nie zapomnę panu tego nigdy Pan mi dziś ocalił życie na scenie.

„ARS“ i technika

Postęp — oto hasło dnia. Radjo, czy samochód z przed lat dziesięciu, należą już do zabytków. Takim samym zabytkiem stały się ostatnio elektryczne aparaty do wiecznej ondulacji. Panie, które na samą myśl trzygodzinnego unieruchomienia pod elektrycznym kloszem, dostawały migreny — zapomnieć mogą nareszcie o torturach, wywołanych przez ciężar aparatu i prąd, który ogrzewając włosy — piekł nieznośnie głowę.

Ostatnie słowo postępu w tej dziedzinie to świeżo zainstalowany aparat do wiecznej ondulacji w znanym w stolicy zakładzie fryzjerskim „Ars“, Warecka 10. Ten nowoczesny aparat umożliwia zastosowanie do każdych włosów właściwej temperatury przez ogrzewanie klamer w aparacie, a następnie zakładanie ich na włosy. Znakomita izolacja, lekkość, możność poruszania się oraz zachowanie przez włosy swego naturalnego połysku i jedwabistości, wysuwa zdecydowanie ten system wiecznej ondulacji na pierwsze miejsce.

Firma „Ars“, która jednoczy wybitnych fachowców fryzjerstwa damskiego — pozyskała ostatnio p. Ryszarda Brudzyńskiego (z firmy B-cia Białobłoccy) i p. Zygmunta Kryspina (z firmy B. Mazurkiewicz) — pilnie śledzi wszelkie nowości z tego działu i może być prawdziwie dumną, umożliwiając swym licznym klijentkom korzystanie z tego nowoczesnego aparatu.



Gary Cooper *Fot. Paramount.*

„Chińskie złoto" — nowy film Coopera

Gary Cooper, który ostatnio odniósł prawdziwy triumf w filmie „Pokusa", ukaże się w nowym obrazie, mianowicie w filmie p. t. „Chińskie złoto". Scenarjusz tego filmu opracowuje znany powieściopisarz i dramaturg — Clifford Odets. Film reżyserować będzie Levis Milestone, twórca filmu „Na zachodzie bez zmian". Partnerką Gary Coopera jest znana piękność angielska, Madeleine Carroll. Bezpośrednio po tym obrazie, Cooper przystępuje do nakręcania filmu p. t. „Ship of slaves", który zostanie nakręcony zamiast „Beau Geste".

Nowy film Margaret Sullavan

Lubiana aktorka dramatyczna, Margaret Sullavan, ukaże się w zabawnym filmie, produkcji Waltera Wagnera p. t. „The moon's our home". Scenarjusz tego filmu osnuty jest na tle słynnej powieści Faith Baldwin, autorki głośnej książki „Żona czy sekretarka", która rozeszła się w kolosalnym nakładzie. Pikantnym szczegółem jest fakt, że partnerem Margaret Sullavan będzie Henry Fonda, jej eks-mąż. Rozwiedziona para spotkała się po raz pierwszy po swym rozwodzie w atelier filmowem. W Hollywood mówią, że Margaret Sullavan i Henry Fonda, grali z takiem przekonaniem sceny miłosne, że w czasie przerw podczas nakręcania ciągle przebywali razem, że prawdopodobnie rozwiedziona para pobierze się znowu.

Treścią filmu „The moon's our home" są przygody gwiazdy filmowej. Temat ten jest zupełnie oryginalny i dotąd niespotykany na ekranie, doskonała gra aktorów, jak i doskonała reżyserja Williama Seitera, twórcy „Roberty".

„Gwardzista Maharadży"

Filmy z życia wojsk angielskich w Indjach, o wspaniałej i soczystej panoramie tego tajemniczego kraju, cieszą się powszechnem zainteresowaniem publiczności. Pamiętamy film „Bengali", który przez najszersze warstwy publiczności przyjęty został z entuzjazmem.

Na jesieni zobaczymy wielki film, obrazujący życie, walkę i miłość oficera słynnego pułku strzelców angielskich, stacjonowanego w miejscowości Khyber w Indjach Zachodnich. Oryginalny tytuł brzmi „King of Khyber rifles" (tytuł tymczasowy „Gwardzista Maharadży"). Ciężka walka między żołnierskim obowiązkiem, miłością ojczyzny, wiernością dla króla i sztandaru Wielkiej Brytanji, a głębokiem uczuciem dla pięknej Hinduski — to zasadniczy element, wokół którego toczy się akcja filmu. Potężna i bogata wystawa, przepiękne widoki, znakomity zespół aktorski z arcyżołnierzem Victorem McLaglenem na czele, tworzą z filmu powyższego prawdziwe arcydzieło. Reżyser i producent starali się w każdym calu przedstawić rzeczywistą prawdę, zwyczaje, charaktery i folklor, a celem wydobycia jak największej ekspresji, wszystkie poszczególne zdjęcia dokonane zostały w Indjach, gdzie w ciągu 8-miu miesięcy nakręcono prawie 30.000 metrów taśmy.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**



Marlena Dietrich
Fot. Paramount

„Grand hotel w powietrzu"

Jeden z najwybitniejszych reżyserów amerykańskich, Mitchell Leisen, twórca doskonałego filmu p. t. „Od wieczora do północy", ukończył realizację nowego obrazu „13 hours by air", który jest istotnie niezwykły: niemal cała akcja toczy się w samolocie, lecącym z Nowego Yorku do San Francisco. W tym samolocie pasażerskim znajduje się grupa ludzi: pilot (Fred MacMurray), wesoły i energiczny młodzieniec, który zakochuje się w uroczej pasażerce (Joan Bennet). Nieznośny dzieciak (Bennie Bartlett), który przypadkowo ratuje pasażerów od niechybnej śmierci. Jego niezaradna opiekunka (Zasu Pitts). Gangster, gotowy zabić każdego w obronie swej wolności (Alan Baxter), detektyw tropiący go wytrwale (Brian Donlevy), drugi pilot (John Howard), stewardessa, jego narzeczona, która dostaje ataku histerji, dowiedziawszy się, że jej narzeczony został zraniony, ponadto cały szereg charatkerystycznych typów. Samolot zabłąkawszy się we mgle zmuszony jest lądować. Odtąd każdy z pasażerów przeżywa swe własne i cudze przeżycia. Węzeł dramatyczny zostaje rozwiązany w sposób nowy i nieoczekiwany. Zarówno czołowi wykonawcy, jak i cała obsada wywiązała się nad wyraz dobrze ze swego zadania. Kinomani, którzy są zwolenninkami nieprzeciętnych obrazów, wartkiej akcji i dobrej gry, spędzą mile wieczór na tym filmie.

Psi fenomen

Wielbiciele rasowych psow będą mieli sposobność w przyszłym sezonie filmowym podziwiać nowy psi „genjusz". Jest nim piękny okaz doga irlandzkiego „Lightning", „konkurent" słynnego „aktora filmowego" bernardyna „Bucka". Dzięki swej psiej inteligencji i „fotogeniczności" „Lightning", który grywał z „Buckem", występując jako jego partner, tym razem wystąpi samodzielnie, jako psia gwiazda w filmie „Biały kieł", opartym na powieści Jacka Londona. Specjalna ekspedycja filmowa bawiła 3 miesiące na Alasce, realizując tam poszczególne sceny z tego frapującego filmu, odsłaniającego nam w nagiej prawdzie życie poszukiwaczy złota i przemytników futer na dalekiej północy.

Reżyser Dave Butler nie zapomniał o cukrze dla swego, jak się wyraził, najpunktualniejszego i najposłuszniejszego aktora, okazując mu w ten sposób po dokonywanych zdjęciach swe zadowolenie.

„Pokój Nr. 309" **Rialto**

Przyjemnie jest po szeregu mniej lub więcej udanych rewij i operetek zobaczyć prawdziwy film. Obraz, wyświetlany obecnie w „Rialto" na nazwę tę w zupełności zasługuje. Wartkie tempo sensacyjnego scenarjusza i ciekawie rozwijająca się akcja przykuwają uwagę widza, dostarczając mu emocji, podawanej w formie lekkiej i łatwostrawnej, okraszonej humorem i owianej wdziękiem.

Niesłabnące w toku akcji zaintesowanie zagadkowym mordem w eleganckim hotelu, wzbogacenie wciąż nowemi komplikacjami i niespodziankami, momenty grozy i dramatycznego napięcia, zręcznie przeplatane czarującym wdziękiem rozwijającego się uczucia, pomysłowy scenarjusz i niefrasobliwy humor — to bezsprzeczne atuty filmu.

Jack Conwyn z Metro Goldwyn Mayer umiejętnie przeprowadził nas przez las wikłających się sytuacyj, zręcznie stwarzał i usuwał trudności, wydobywając maksimum efektu z drobnych, pozornie nieznacznych faktów, nie gubiąc się w zbytecznych szczegółach, utrzymując należyte tempo i natężenie akcji. Mimo pewnego pokrewieństwa ze znanymi dawniej „Ludźmi w hotelu", mimo pewnych reminiscencji z „Całe miasto mówi o tem", film jest oryginalny. Wdzięk pary bohaterów (Una Merkel i Franchot Tone — telefonistka i farmer z dalekiego zachodu), ich prostota, naiwność i uczciwość na tle zdeprawowanych bywalców wielkiego hotelu zdobywa im szczerą sympatję widza. Una Merkel zdobyła się na tak ciepłą szczerość, że jej cokolwiek zbytnia gadatliwość i dość pospolita uroda nie rażą ani przez chwilę. Co więcej z miłem gaworzeniem i naiwnem uwodzeniem bardzo jej do twarzy. Reszta wykonawców nie miała nadzwyczajnego pola do popisu. Poza nieusprawiedliwioną logicznie grą i rolą dyrektora hotelu całość bez zarzutu. *J.*



Najpiękniejsza bohaterka ekranu, Kay Francis, znakomita odtwórczyni roli tytułowej w wielkim filmie sensacyjno-erotycznym p. t. „Żona dwóch mężów" w kinie Atlantic.

Żona dwóch mężów" **Atlantic**

Tym razem pokazano nam Kay Fracis w niezbyt interesującej roli, jako bigamistkę podobno mimowoli. Wogóle ani scenarjusz filmu, ani reżyserja, ani „problem" nie przedstawia nic zajmującego. Można się tylko dziwić, co skłoniło tak zazwyczaj dbałą o dobór programów dyrekcję kinoteatru do wystawienia tej dziwnej dla Europejczyka historji. Gdyby jeszcze nieciekawe towarzystwo było potraktowane satyrycznie! Ale, najwidoczniej, sympatją autorów scenarjusza cieszy „wytworny" detektyw, którego specjalnością jest kompromitowanie żon za pieniądze ich mężów, pragnących rozwodu. Obaj mężowie uroczej Kay Francis to również typy z pod ciemnej gwiazdy: jeden szantażysta, a drugi stary zazdrosny ramol.



Carola Lombard

Fot. Paramount.

Prawie podziwiać można tę nieszczęsną kobietę, że dopiero niezręczność zacnego małżonka sprawia, iż przestaje ona mu być wierną.

Niesmak budzi przygoda miłosna z detektywem (George Brent), który po czułych scenach pisze raporty do męża, aby go poinformować o następstwach swoich zabiegów uwodzicielskich. Można i tak, ale poco kazać nam oglądać całe to mętne towarzystwo i jego perypetje miłosne. *J.*

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa